Lwów, Niedziela dnia 25. Maja 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 17.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

W SPRAWIE POMNIKA i RĘKOPISMÓW SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.

Po trzech latach pełnego budującej rezygnacji milczenia, odezwał się nareszcie komitet, który się zawiązał sam, czy został zawiązany, w celu wystawienia ś. p. Sewerynowi Goszczyńskiemu pomnika, oraz zaopiekowania się spuścizną wieszcza-żołnierza — jego rękopismami. Zażądano od miasta Lwowa kawałek gruntu pod pomnik dla S. Goszczyńskiego. Ten dobrowolny i niczem nieprzymuszony krok szanownego komitetu napawa nas otuchą i pozwala spodziewać się, że za jakie lat trzy stanie nareszcie pomnik nad mogiłą męża, którego imię jest chlubą narodu, którego pamięć pozostanie drogą dla każdego, komu ojczyste dzieje i literatura nie będą obce; że nareszcie Lwów przestanie się wstydzić, że co lat tyle po śmierci sławnego męża nie mógł się zebrać na uczczenie jego popiołów; że kiedy w Stanisławowie Gosławski, w Tarnowie Piotrowski mają pomniki, to we Lwowie, stołecznym Galicji grodzie — ostatni z naszych wieszczów, bohater z pod Belwederu, mąż, który jak drugi Mohort, dotrwał do ostatka na swem stanowisku, pełniąc twardą służbę w ojczystej sprawie, święcąc ją słowem i czynem, cnotami, a nawet błędami swemi — nad skromną swą mogiłą prostego nawet krzyża nie ma, coby przypominał przechodniom, czyje prochy leżą pod nią.

Tak, miejmy nadzieję, że za jakie lat trzy nie będziemy potrzebowali szukać po całym cmentarzu mogiły autora Zamku Kaniowskiego, lub się rozpytywać o nią wszystkich świętych cmentarzowych; że po sześciu latach, licząc od śmierci S. Goszczyńskiego, będziemy mogli przyznać, że komitet należycie wywiązał się z podjętych, czy z przyjętych na się, obowiązków. Nim to wszakże nastąpi, odważamy się zrobić szanownemu komitetowi skromną uwagę, że jakkolwiek publiczność milczeniem swem w sprawie pomnika dla S. Goszczyńskiego słusznie mogłaby uledz zarzutowi o obojętność, to przecież leży jej ta sprawa bardzo na sercu i nie miałaby wcale za złe komitetowi, gdyby zechciał ją jakąkolwiekbądź drogą poinformować, jak się rzeczy mają. Nie mniej pragnęłaby także dowiedzieć się, co się dzieje z rękopismami S. Goszczyńskiego — które są przecież własnością narodu. Pełna zaufania do ludzi, cieszących się powszechnem uznaniem, znanych ze swego patrjotyzmu, wie ona, że drogocenna spuścizna w dobrem znajduje się ręku, z tem wszystkiem niepokoją ją pewne, może tylko złośliwie rozpowszechniane wieści, że rękopismy te złożone u jednego z członków komitetu, wraz z tym członkiem wywędrowały za granicę, że członek ów bez odwoływania się do kogokolwiek bądź, rozporządzając się narodową spuścizną, jak swoją własnością, jedną jej część darował muzeum Rapperswilskiemu, inne zaś skazał na przechowywanie ad actam, pokąd chyba mole je nie zgryzą. Słyszeliśmy, że zaraz po śmierci naszego poety zgłaszało się kilku księgarzy z zamiarem zbiorowego wydania jego dzieł. Dla czego sz. komitet uznał za właściwe odrzucić dobre chęci, które później może się już nie znajdą? Są to, jak powiadamy, głuche tylko wieści, ale właściwie może dla tego, że głuche, tem więcej niepokoją. Niezachwiewa to zaufania publiczności do mężów zaufania ale ośmiela ją tylko do kornego przedłożenia swej prośby, ażeby Szanowny komitet, zważywszy, że imię Goszczyńskiego jest chwałą całego narodu; że publiczność tak samo doznaje w swem sercu uczuć wdzięczności dla ludzi, co się poświęcają dla sprawy narodu, jak i pojedyncze jednostki, chociażby te należały do wybranych; że spuścizna po takim mężu, jak Goszczyński, jest własnością narodu, i nie godzi się nią rozporządzać samowolnie pojedyńczym ludziom, chociażby ci byli członkami komitetu wybranego, zważywszy i wszystkie te powody uznając za słuszne — zechciał łaskawie zawiadomić drogą, jaką sam uzna za właściwą, o ile te wieści są słuszne, i co postanowiono zrobić z rękopismami, pozostałemi po ś. p. Goszczyńskim.

Publiczność, pełna otuchy, nie traci nadziei, że Szanowny komitet raczy przychylić się do jej skromnej prośby i położy koniec niepokojom, które ją nie pomału trwożą.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

VI.

Osoba o której sprowadzenie tak gwałtownie szło teraz Gustawowi, nosiła właściwie nazwisko cokolwiek dłuższe. Tak nazwany przez hrabiego Telecki, nazywał się od czasu jak go znano w Warszawie Panteleckim, nie można zaś zaręczyć czy mu to nazwisko służyło od urodzenia czy też wynalazł je dopiero na warszawskim bruku; przeszłość bowiem, Marka Panteleckiego była najzupełniej zagadkowa i o jego przedwarszawskich czasach najsprzeczniejsze krążyły wieści po bawarjach, gdzie szukać go polecił hrabia.

Jakim sposobem Gustaw go wynalazł i do usług swoich używać zaczął, jest to podobnież tajemnicą, to tylko pewna, że nie poraz pierwszy chciał go użyć obecnie i że przezwał go Teleckim dlatego, żeby się służbie nie zdawało, iż go chociaż pośrednio panem tytułuje.

Pantelecki, jak to już widać z rozporządzeń hrabiego gdzie go szukać, nie prowadził życia odznaczającego się wstrzemięźliwością od gorących trunków i w ogóle czystością obyczajów. Kiedy nie pracował, a zdarzało się to dość często, od rana do nocy włóczył się z knajpy do knajpy, pił, grał w karty lub bilard i gadał co mu tylko ślina do ust przyniosła, nie jego zaś było winą, że mu przynosiła same niestworzone i nie do uwierzenia rzeczy. W takich epokach bezczynności czy wakacji, często do bezprzytomności zalewał pałkę, a gdy do tego przyszło, to żeby go powołać do pracy potrzeba było używać nakazanej przez hrabiego na ten przypadek kąpieli.

Jeżeli jednak nie był na śmierć pijany, Marek Pantalecki z całą gotowością spieszył do pracy na każde wezwanie. Jedyną zwłoką jaką sobie w takim razie wypraszał, był czas na dokończenie zaczętego kufla, lub granej właśnie partji bilardu, czy jakiej gry kartowej. W pierwszym razie wystarczała sekunda, w drugim pięć minut.

Przy pracy odmieniał się jak zaczarowany. Przedewszystkiem nie pił, a powtóre był małomówny.

Pracą u Panteleckiego nazywało się wszystko czego się mógł podjąć za pieniądze, a za pieniądze podejmował się wszystkiego, z wyjątkiem najprzód narażenia grzbietu, a następnie wszelkiego zajęcia, ktore może stanowić zatrudnienie stałe i regularne pewnego rodzaju ludzi. Za nic w świecie nie podjąłby się czegoś z czego ludzie zwykle robią sobie zawód. Miał na to nawet swoją filozofją.

— Nie cierpię fagasów — mawiał — i choćbym miał miljony ani jednego bym nie trzymał. Sam sobie posługuję i dobrze mi z tem. Z tej zasady wychodząc, nie mogę przystać lub narażać się na to, żeby ktoś trzepał moją odzież, zwłaszcza kiedy ją mam na sobie.

Wstręt do regularnych zatrudnień usprawiedliwiał miłością bliźniego.

— Albo to Pantelecki nie ma głowy na karku — mówił — żeby miał innym chleb odbierać?.. Kto żyje z czego niech sobie żyje, ja mu w drogę włazić nie myślę... znajdę sobie zawsze zajęcie, którego nikt się nie podejmie.

I rzeczywiście znajdował zajęcie, niekiedy nawet dobrze płatne, ale zawsze krótko-trwałe, bo jeśli robota miała się ciągnąć dłużej niż dni kilka, to tak ogromnie potęgował jej cenę, każąc sobie płacić za wstrzemięźliwość od kieliszka i kufla, że mu jej powierzyć nie było można.

Co do fizjognomji był poczciwie niemiły. Włosy niby to czarne, ale kręcące się i przeplatane promieniami ciemno brunatnemi, które wpadały miejscami to w wiewiórczą rudość, to w jakiś odcień niebieskawy, duże bezrzęse oczy z małemi źrenicami a ogromnemi, rażącemi niemiłą czerwonością białkami, czoło wysokie, wypukłe, przyozdobione zwykle czerwonemi plamami lub krostami, nos zaczynający nabierać barwy buraka, wpadłe policzki z sterczącemi kośćmi twarzowemi, pokryte nieskończonością piegów, wielkie usta do wiecznego wykrzywione uśmiechu, czarne zęby i bezładny nastrzępiony zarost wierzchnej wargi, nie stanowią podobno bardzo ponętnego rysopisu, ubranie zaś wyszarzane poczciwie nie mogło mu dodawać wdzięku.

Tego dnia szczęśliwym przypadkiem znaleziono Panteleckiego bardzo prędko i nie potrzebowano go trzeźwić.

W godzinę był już w pałacu i wpuszczono go do Gustawa.

— A! jesteś Telecki — rzekł spojrzawszy na niego hrabia.

—Całuję nóżki, jaśnie wielmożnego hrabiego.

—Jest robota... podejmujesz się?... wiesz jak płacę...

— Czy się podejmuję, jaśnie wielmożny hrabio?... w ogień i wodę na rozkaz jaśnie wielm...

Hrabia mu przerwał wymieniając ulicę i numer domu, w którym mieszkała Natalja.

— Znajdziesz ten dom?...

— Wkorcu maku znalazłbym na rozkaz jasnie hrabiego...

—No... to słuchaj... tam mieszka panienka z matką... blondynka...

—Nie potrzebny rysopis, panie hrabio... znam gust jaśnie wielmożnego pana...

— I nie omylisz się?...

— Niech mnie utrą na proch, nabiją w armatę i wystrzelą, jeżeli się omylę jaśnie wielmoż...

— No, to dobrze. Masz zatem trzy dni czasu, przez te trzy dni kropli ci do ust wziąć nie wolno.

— Rozsechnę się z pragnienia jaś...

— Nic nie szkodzi... odmoczysz się potem. Przez te trzy dni zbadasz jak najdokładniej ten interes... dowiesz się co za jedna?... z czego żyją?... kto u nich bywa?... jednem słowem dowiesz się o wszystkiem... rozumiesz... o wszystkiem...

— Mnie jaśnie pan hrabia dużo mówić nie potrzebuje... rozumiem.

— Więc ruszaj.

Pantelecki zabrał się do roboty pilnie po swojemu.

W trzy dni już raport był gotowy, raport wykończony w najdrobniejszych szczegółach.

— Jaśnie wielmożny hrabio —mówił do Gustawa — to forteca nielada, szturm nie będzie łatwy... Pierwsze szańce stanowi reputacja... najgadatliwsze baby z sąsiedztwa słówka złego powiedzieć nie potrafiły na panienkę. Po za tym szańcem drugi wał obronny... co mówię wał?... mur żywych piersi, jaśnie wielmożny hrabio... bywają tacy i owacy mężczyzni... jeden w drugiego młody... jeden w drugiego biedny... i jeden w drugiego zakochany po uszy... spisałem ich na karteczce osobnej.

— Czy dotarłeś aż do samej fortecy?...

Raz tylko zamówiłem się o mieszkanie do wynajęcia... biedni ale czyściutko... znać że majątku nie ma, bo i nie ma jak wiem zkądinąd, mimo to przecież... jaśnie wielmożny hrabio... przez kościół droga.

— Dobrze... nie potrzebuję cię już.

Telecki skłonił się i odszedł ku drzwiom, ale przy drzwiach zatrzymał się jeszcze i czekał.

Gustaw tymczasem zastanawiał się i myślał:

— Niełatwa sprawa... gąska widocznie myśli o małżeństwie, a jej romantyczne marzenia skończą się na tem, że uszczęśliwi sobą jakiego urzędnika o dwóch tysiącach pensji, który będzie najczulej wzdychał przed małżeństwem z kochania, a po ślubie z biedy. Doprawdy warta lepszego losu!...

Hrabia Gustaw to co zamierzał ofiarować swej wybrance z całem przekonaniem nazywał lepszym losem i dziwić się nawet temu nie można, ze względu na to, pomiędzy jakiemi kobietami się obracał.

Byłby się może zrezygnował na odstąpienie od zamiaru, uczuwał jednak taki pociąg, taką potrzebę bliższego zaznajomienia się z pięknością z Botanicznego ogrodu, że przy odrobinie wolnej woli wziąćby to można było za początki, albo za jaki surrogat miłości. Pod wpływem tej potrzeby, upojony uczuciem quasi-kochania, spotężniał, namarszczył brwi i z ogniem w oku rzekł do siebie:

— Trudno... a przecież trzeba.

W tej chwili ujrzał stojącego jeszcze przy drzwiach Panteleckiego.

— A! Telecki... jeszcześ nie poszedł... poradź, mi co tu począć?...

— Poszukać innej, jaśnie wiel...

— Głupiś — zamknął mu usta hrabia

Pantelecki, jakby tylko na głupca oczekiwał, ukłonił się raz jeszcze i chciał wychodzić.

— Słuchaj Telecki... chodź no tu bliżej.

Pantelecki posłusznie stanął przed swoim pracodawcą.

Gustaw przez chwilę mierzył go spojrzeniem od stóp do głów, potem wybuchnął śmiechem:

— Ha! ha! ha! doskonała myśl! — cóż Telecki, chciałbyś zrobić karjerę?

— Jaśnie wielmożny hrabio, choćby dwie.

— A no, to idź, stań przed lustrem, przyglądaj się i odpowiadaj.

Marek wykonywał wszystko jak na komendę.

—Gdyby cię tak wyszurować porządnie— mówił do niego hrabia — ostrzydz, wyczesać, podfarbować, ogolić, ubrać po ludzku, od kieliszka i kufla trzymać o trzy sążnie daleko, czy mógłbyś wyglądać na jakiego takiego człowieka?...

—Prawdę powiedziałeś, jaśnie wielmożny hrabio?

— Jak chcesz... ale ja za kłamstwa nie płacę.

— No, to przyznam się jaśnie panu, że wątpię... ale przy usilności może... gdyby tak i o kieszeni pamiętać.

— To się samo przez się rozumie...

— A! jeśli tak, to jeszcze wcale niczego człowieczyzna dałby się ze mnie wykroić.

— W takim razie, słuchaj.

Chciał już Gustaw wypowiedzieć myśl swoją, gdy przypomniała mu się jeszcze jedna okoliczność.

— Gadaj tylko najprzód czyś ty żonaty?.

—Jaśnie wielmożny hrabia za kłamstwa nie płaci, więc powiem prawdę... tak jak będę kiedyś odpowiadał na ostatecznym sądzie.

—Cóż więc odpowiesz na to pytanie na owym sądzie?

—Odpowiem „nie wiem“ jaśnie wielmożny hrabio.

— Jakto? nie wiesz czy masz żonę?

— Żebym się w tej chwili zapadł do piwnicy, jaśnie hrabio, cżeli wiem. Dziesięć lat temu spiłem się na śmierć... Nazajutrz spostrzegłem, że mieszkam z jakąś kobietą. Pytam się co to znaczy, ona mówi, że wczoraj braliśmy z sobą ślub. Odpowiadam, że kłamie, biorę czapkę, trzaskam drzwiami i idę na bawarję. A na bawarji wszyscy znajomi witają mnie przez połę i powiadają, że się tego bawili na mojem weselu. Cóż miałem począć, jaśnie wielmożny panie?... Jaśnie pan zna przysłowie: gdy ci dwóch powie żeś żonaty, toś żonaty, nie ma co. Może to ci znajomi takiego figla spłatali.

— I ta kobieta żyje?...

— Żyje... mieszka ze mną... ma czworo dzieci..

Gustaw zanosił się od śmiechu.

— Bądź co bądź — rzekł po chwili —

na nic mi się nie przydasz, kiedy tak... Idź już do djabła...

Pantelecki skłonił się raz jeszcze.

—Może jaśnie wielmożny hrabia pozwoli — rzekł uniżenie.

— Cóż takiego?...

— Poradzić.., szczerze poradzić, jaśnie panie.

— No, to radź.

— Choćby pan hrabia znalazł kogo innego na moje miejsce, taki interes zrobić się nie da.

— Nie da się zrobić?...

—Że nie, to nie, ja przewąchałem... Ta panienka wcale nie rozumie takich konszachtów... forteca, czysta forteca.

— Więc cóż począć?

— Rejterować, jaśnie wielmożny hrabio...

— Rejteruj ty mi sam z przed moich oczu, pijaku, rozumiesz? — odpowiedział oburzony Gustaw.

Pantelecki widać go znał i wiedział że dłużej natrętnym być mu nie można, bo tym razem poszedł na prawdę.

Hrabia pozostał w krześle i zamyślał się.

— Tak niedobrze, a tak ani rusz—mówił do siebie — ale czyż podobna słuchać tego cymbała co radzi dawać za wygraną?... Po tylu zwycięztwach w różnych sferach miałbym nagle broń złożyć przed warownią jakiejś cnoty mieszczańskiej? odstąpić dlatego, że ją otacza szaniec reputacji i palisada gołych konkurentów?... Nie! tego nie zrobię. *En tout cas le projet de l'epouser par un remplaçant ne vaut rien...* pod tym względem Telecki może mieć słuszność. Ale dopóki nie wyczerpię wszystkich kombinacji mogących mi posłużyć do dopięcia celu, nie złożę broni, nie! nie złożę!

Myślał dzień, myślał drugi i nic wymyśleć nie mógł, ale im dłużej myślał, tem uparciej chciał coś wymyśleć.

Przyszło do tego, że zaczął całe godziny samotnych posiedzeń w domu i przechadzek po ulicach i ogrodach Warszawy poświęcać ułożeniu planu zdobycia dla siebie Natalji.

Tem zajęty był właśnie, gdy raz w Saskim ogrodzie spotkał go Narcyz i uradowany zaczepił.

VII.

Kilka słów powitania były dostateczne dla młodego barona na wstęp do opowiadania o pamiętnej podwilanowskiej przygodzie, o której ledwie wieść niedokładna do hrabiego Gustawa dobiegła i już miała dość czasu wywietrzeć z jego pamięci.

Gustaw słuchał półuchem patetycznego opowiadania, zauważył jednakże, że historja nie tak prędko się skończy i właśnie gdy Narcyz był w największym zapale, przerwał mu chłodno:

— Wiesz, baronie, twoja legenda na coś długiego się zanosi. Siądźmy lepiej na ławce, żebym mógł swobodniej dosłuchać.

Narcyz nic nie miał przeciw temu, usiedli.

— Nazywasz to legendą, hrabio — ciągnął dalej epopeję własnego czynu młody dziedzic świetnego imienia Pogromskich — nazywasz to legendą, a przecież jeśli nie umniejszam niebezpieczeństwa, to go nie powiększam z pewnością.

— Nie wątpię o tem baronie, chciałem tylko powiedzieć, że twój wypadek potomne wieki będą opowiadały jak legendę...

Nie zważając na tę sarkastyczną uwagę Narcyz opowiadał dalej. Właśnie nadchodziła chwila wprowadzenia Rzewnickiego na scenę.

— Rrzewnicki — przerwał hrabia — zdaje mi się, żem słyszał to nazwisko...

— Być bardzo może, hrabio, siostra cioteczna mojej matki jest za Rzewnickim.

— Ach! prawda... jakże twemu Rzewnickiemu na imię?... Emil?...

— Emil właśnie!... — zawołał Narcyz uradowany, że nareszcie napotyka kogoś, który znał jego wybawcę — Emil!... czy go znasz, hrabio?

— Nie znam wcale.

— Zkądże odgadłeś jego imię?...

— Sam sobie nie przypominam gdzie je słyszałem... ale opowiadaj dalej baronie...

Imię i nazwisko Rzewnickiego znał hrabia Gustaw z informacji, jakie zebrał i otrzymał od Natalji. Wiedział, że Emil bywał w domu jej matki, wiedział nawet, że był kupczykiem, nie chciał jednak tego wyjawiać, raz dlatego, że Narcyz już zatytułował Rzewnickiego swoim kuzynem, więc przypomnienie nieartystycznej kondycji tego kuzyna byłoby poprostu niegrzecznością, powtóre zaś dlatego, że nie chciał bynajmniej wtajemniczać Narcyza w swoje morganatyczno-matrymonjalne zamiary. Wreszcie nie zupełnie był pewnym czy ów Emil Rzewnicki był tym samym, co bywał w domu pani Balskiej, czy tylko jego imiennikiem.

W dalszym ciągu opowiadania jeszcze mniej przyjść mu mogła ochota powiedzenia czego się domyślał o Emilu, gdy Narcyz zaczął się rozwodzić nad szczegółami przyjęcia, jakiego doznał Rzewnicki w domu jego rodziców i unosić nad cudownością zbiegu okoliczności, który mu za wybawcę zesłał krewnego.

— Wystaw sobie, hrabio — opowiadał młody baron — jaki to dziwny człowiek. Wyraźnie boi się wdzięczności. Mybyśmy go na rękach teraz nosili, a on nas wyraźnie unika.

— Jeśli to kupczyk — pomyślał hrabia Gustaw — i jeśli oni o tem nie wiedzą, to miło będzie widzieć jakie miny porobią gdy ich dojdzie ta nowina. Pozwólmy im, niech się awanturują dalej.

W tej chwili Narcyz zerwał się nagle z ławki, jakby sobie coś nadzwyczaj ważnego przypomniał.

— Żegnam cię, hrabio — rzekł wyciągając do niego rękę — albo lepiej chodź ze mną.

— Gdzie i po co, baronie?

— Tam, patrz w bocznej alei idzie...

— Ta blondynka w niebieskiej sukni?... nieprawdaż?... bałamut z ciebie, baronie...

— *Peu m'importe la* blondynka — żywo odpowiedział Pogromski — *mais je trouve enfin mon homme...* chodź, hrabio, poznam cię z nim... to mój kuzyn, Rzewnicki, mój wybawca! Mam go nareszcie!

— *Ah! c'est lui,* — rzekł Gustaw, poznając Rzewnickiego, gdyż widział go już raz wchodzącego do domu, w którym mieszkała pani Balska — idź za nim baronie... idź za nim... przedstawisz mi go kiedy indziej.

Już baron Narcyz zrobił kilka kroków ku bohaterowi swojej przygody, gdy Gustawowi nagle nowa myśl przyszła:

— Chwilka, baronie — zawołał — czekam cię jutro przed południem u siebie... koniecznie... przed południem... interes nie cierpiący zwłoki... *péril en la demeure!...* będziesz?... daj słowo...

— Będę najniezawodniej — odrzekł Narcyz, przyspieszając kroku, żeby dopędzić Rzewnickiego.

Po odejściu Narcyza hrabia Gustaw krótką jeszcze chwilę pozostał na ławce i patrzył za nim zapewne ażeby się ostatecznie upewnić czy Narcyz za tym samym Rzewnickim goni, albo żeby się przypatrzeć jak też wdzięczny baron witać się będzie ze swym wybawcą i kuzynem, nie wiedząc, że opisuje światu poufałe stosunki swoje z człowiekiem niższej kondycji, lub wreszcie żeby zobaczyć jak ów Emil Rzewnicki swoją wysoką koligację przyjmuje.

Po kilku chwilach nim jeszcze Narcyz miał czas przystąpić do Emila, hrabia wstał nagle z ławki, mówiąc do siebie:

— Narcyz gotów mi zaraz przyprowadzić go tutaj, jak tylko go złapie i popsułby mi wszystkie szyki. Potrzeba się usunąć.

Szybkim krokiem poszedł w boczne aleje i nie oglądając się nawet wyszedł z ogrodu. Od czasu do czasu tylko uśmiech przelotny przebiegał jego twarz, na wspomnienie entuzjazmu, z jakim Narcyz mówił o czułości i poważaniu, jakie sobie Rzewnicki znalazł w domu baronostwa.

— Otóż biorę udział w komedji salonowej, pod tytułem *Intruz* — myślał wychodząc z ogrodu — a rola, którą mi przypadek przeznacza, jest dość ważna, choć niepozorna. Kupczyk koniecznie chce wyeksploatować przypadek, który go do domu baronostwa wprowadził. Pogromscy domyślając się w nim dżentelmena przyjęli go życzliwie i uprzejmie. Tchórz Narcyz za ocalenie życia pewno go wyściskał i wycałował, baronówna raczyła się uśmiechnąć i podać rączkę do uścisku. Wszystko to razem młodemu kandydatowi na kupca zawróciło w głowie, a uśmiech pięknej Nini może mu serce nawet prześwidrował na wylot. Przyjął więc rolę, jaką mu dano, sądząc, że baronównę w sobie rozkocha. Ma dobry węch, więc nie potrzebował długo się zastanawiać, że bogata baronówna jest lepszą partją od biednej Natalji. No... w tem się przerachował trochę... już ja w tem będę, żeby baronówna nie zrobiła mezaljansu... My ludzie lepiej urodzeni powinniśmy pomagać sobie wzajemnie, więc nie dopuszczę do czegoś podobnego. Ale do czasu przeszkadzać mu nie mogę, bo mi ten dziwny zbieg okoliczności jest potrzebnym. Tak czy owak pan Emil ułatwić mi musi mój stosunek z Natalją, do której gruchał pewno, a którą dla baronówny porzucić myśli.

Domysły Gustawa były błędne, bo nie brał w rachunek tej okoliczności, że Emil mimo zaproszeń nie pokazywał się w domu Pogromskich, a raczej kładł tę wstrzemięźliwość na rachunek głęboko obmyślanej taktyki i zręcznej gry. Mimo to hrabia mógł rzeczywiście spożytkować sposobność poznania Emila, byle tylko zręcznie wziął się do tego, a w podobnych intrygach zręczności nie brakło mu wcale. Przytem do swych domysłów

*

nie przywiązywał tak wielkiej wagi i nie pokładał w nich zupełnej wiary, lecz postanowił zbadać położenie najdokładniej.

— Może tak jest, a może się i mylę — powiedział sobie — zawsze jednak *monsieur* Rzewnicki przydać mi się musi tym razem... *j'en ferai ce que je veux*, chybabym nie był Gustawem.

Tymczasem Narcyz dopadlszy Emila obsypał go mnóstwem łagodnych, życzliwych, dystyngowanych, a wszelki pozór serdeczności mających wyrzutów.

— Czy się to godzi, panie Emilu, czy się to godzi tak zapomnieć o nas... dać na siebie polować przez dziesięć dni i nie pokazać się na chwilę...

— Ah! panie baronie — chciał się usprawiedliwić Rzewnicki.

Narcyz nie dał mu przyjść do głosu.

— Ojciec się dziwi, mama ma żal do pana, Nina poprostu gniewa się na kuzynka, a ja... cóż mówić o mnie?...

— Panie baronie!...

— Ja, kochany panie Emilu, jestem w rozpaczy, bom pana polubił nad wyraz... ocaliłeś mi pan życie, po to jedynie, żebym je pędził w nudach, bo bez ciebie...

— Panie baronie — przyszedł wreszcie do głosu Emil — proszę o litość... gdyby nawet naprawdę moja drobna pomoc miała prawo nosić nazwę ocalenia życia, to za to żem panu zycie ocalił, ocal pan moje policzki, na które te dziękczynienia niezasłużone ciągłe tylko wywołują rumieńce.

— Chcesz pan zakneblować usta mojej wdzięczności!... Dziwny człowiek z pana doprawdy... lecz kiedy tak się panu podoba, nie będę mówił, będę milczał... jeżeli każesz będę nawet niewdzięcznym... przez wdzięczność! Pod jednym wszakże warunkiem...

— To jest?...

— Że pan teraz, natychmiast, jak stoisz pójdziesz ze mną do nas...

— Ależ, panie baronie, moja toaleta...

Był to przypadkiem dzień świąteczny, Emil miał czas zupełnie wolny, a tualeta jego była bez wyrzutu jak na przechadzkę po mieście, a nawet na wizytę, zwłaszcza nieproszoną, bardzo niewiele pozostawiała do życzenia.

Gdyby nawet było pod tym względem cokolwiek gorzej, Narcyz nie byłby ustąpił z obawy, żeby nie utracić znowu na długo okazji zawiązania z Rzewnickim bliższych stosunków. To też machinalnie tylko i bardzo przelotnie zmierzywszy Emila od stóp do głów, odpowiedział:

— Coż to?... ceremonjować się pan będziesz z nami, panie Emilu?... Oh! nie zasłużyliśmy na to... idziesz pan i basta.

— Panie baronie... obiadowa godzina... kiedy indziej.

— Mam upoważnienie zaprosić pana na śniadanie, na obiad, na herbatę, na wieczór, na wszystko... Ojciec prosi, mama prosi... i Nini... uważasz pan i Nini prosi... nie mówiąc już o mnie, kiedyś pan taki nieczuły na me prośby...

Emil nie poddawał się jeszcze. Stosunek ten, w którym widocznie brano go za coś więcej niż był w istocie, nie zdawał mu się właściwym. Wiedział, że w salonach baronostwa nie było miejsca dla niego i nie chciał korzystać z nieporozumienia, które mu do nich wstęp otwierało. Trudno mu było zimnej wody nalać na zapały Narcyza otwarcie wyznając, że jego pozycja towarzyska nie nadaje mu prawa do takich względów, wolał jednak zdecydować się na to otwarte wyznanie, niż przyjmować następstwa fałszywego położenia, w jakiem znalazł się mimowoli.

Z pewną więc ofiarą miłości własnej, zaoponował jeszcze, przekonany, że prawda będzie najskuteczniejszem lekarstwem, choć może przykrem do zażycia.

— Powiem panu otwarcie, panie baronie — rzekł — dlaczego się opieram i łaskawego zaproszenia państwa przyjąć nie mogę. Nie znam salonowego życia... salony są nie dla mnie... pan baron nie wie pewnie, że jestem...

— Wyraz magiczny miał być wymówionym, ale Narcyz tego nie dopuścił.

— Wiem... mama wie... wiemy wszyscy — przerwał mu szybko sądząc że mówić zamierza o dziwactwach swego ojca, które go od wielkiego świata odsunęły — i dlatego, właśnie dlatego daję panu do wyboru jedno z dwoga chodź pan do nas, albo będziemy się strzelali. Odbierz mi pan lepiej życie któreś ocalił, jeżeli je masz zatruwać.

Dziwne wrażenie zrobiły te słowa na Emilu.

— Wiedzą wszystko — pomyślał — wiedzą że ważę cukier na detaliczną sprzedaż, że prowadzę księgi handlowe za skromną płacę miesięczną, wiedzą to i zapraszają mnie do siebie... nie wstydzą się nazywać mnie kuzynem... szczególni ludzie!...

Nie miał czasu zastanowić się nad tem, że baronostwo mogli mieć o nim jakieś niedokładne i fałszywe wiadomości, już był gotów przystać, ale zawahał się jeszcze.

— I jeszcze się pan dajesz prosić? — zawołał zafrasowany Narcyz — no, tego już nie pojmuję... chyba gniewasz się pan na mnie, że ci nie oddałem wizyty... ale to błąd do naprawienia, a zresztą nie mój, bo i pan nie powiedziałeś gdzie mieszkasz... Skredytuj mi pan tę wizytę, będzie to dług honorowy, we dwadzieścia cztery godzin zapłacę, a tymczasem chodź pan ze mną...

Wyjąkawszy parę słów grzecznych Emil dał się zaprowadzić.

Przyjęto go mile, grzecznie, uprzejmie, z całą naturalnością bez żadnej przesady. Z życzliwą natarczywością naglony jako kuzyn musiał pozostać na obiedzie, podczas którego miejsce obliczonej na efekt wystawy i przepychu zajęła żywa i wesoła pogadanka familijna.

Emil czuł się nieskrępowanym, brał udział w rozmowie tak jakby nie po raz drugi dopiero był gościem tego domowego kółka, nazywany kuzynem nie pąsowiał pod ciosami dowcipnych słówek baronówny, nie tracił przytomności lecz odstrzeliwał się wybornie. Jednem słowem był niby między swoimi, tak, że cała rodzina baronostwa uznała go jednogłośnie miłym człowiekiem.

Wszystkiego tego przyczyną było ich położenie mniemane, owe pozory przez których soczewkę wzajemnie na siebie patrzyli. Całe to przyjęcie było jedną z tych scen, jakich jest pełna komedja życia, a w których wszystko na nieporozumieniu się opiera. Ale scena w której brali udział baronowstwo z Emilem, tem się różniła od innych tego rodzaju, że kiedy zwykle ostatecznym wypływem pozoru jest nienaturalność i przymus, tu właśnie z tego samego źródła wypływała naturalność i swoboda.

Pogromscy brali Emila za człowieka swojej sfery, który chociaż z winy okoliczności zostawał dotąd po za jej obrębem, miał przecież prawo w niej się obracać i pewną wiedzę jak się w niej znajdować, dlatego obchodzili się z nim jak ze swoim, przyjaźnie, życzliwie a nawet poufale do pewnego stopnia. Emil z łatwością uwierzywszy, że jego osobiste położenie było dokładnie Pogromskim wiadome, sądził że ma przed sobą ludzi wyższych nad kastowe przesądy, ludzi, którzy w człowieku przedewszystkiem szukają człowieka, i którzy wdzięcznem a szczerem sercem odpłacają wyświadczone sobie przysługi. To przekonanie czyniło go swobodnym i naturalnym, a więc dowało mu najważniejsze i najpierwsze warunki owej umiejętności znalezienia się, która dla niego jeszcze bardziej ujmowała Pogromskich.

Po obiedzie całe towarzystwo przeniosło się do salonu, gdzie po niejakim czasie zdarzyło się, że Emil z baronówną na chwil kilka pozostali sami. Gdyby był Emil zdolnym zanalizować i pod tym względem dokładnie wszystkie szczegóły swojego przyjęcia, gdyby serce jego nie było opancerzone prawdziwą dla Natalji miłością, spostrzegłby niezawodnie, że baronówna Nina skorzystała z tych chwil, ażeby mu jeszcze wyraźniej niż przy rodzicach okazać, że nie jest niegodnym pocisków jej zalotności salonowej. Zakochany nie mógł dopatrzeć się tej strategji i brał ją w najlepszej wierze za jedną z form kuzynowskiej poufałości, którą przyjmował w taki sposób, iż baronówna mogła nie wątpić, iż jej taktyka jest skuteczną i powoli lecz niezawodnie serce kuzynka dla niej zdobyć musi.

Czy ta zalotność baronówny miała jakie dalsze widoki, czy też była tylko zwyczajną jej wolnego serca igraszką, była to tajemnica, którą nam może jeszcze dalszy przebieg tej powieści odsłoni. (C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Leonard przyszedł na świat z Dederkówny 1800 r. i pobierał nauki z razu w Borunach wspólnie z autorem obrazów litewskich, a później w Mołodecznie. Pod wpływem starszego *Ignacego* bystro mógł się rozwijać, lecz główne wrażenie na umysł młodociany wywarł Zan Tomasz. Z Zanem zeszli się oni w Mołodeeznie i tam się zbliżyli. Wypadki następowały szybko jedne po drugich. Społeczność cała nabierała odwagi i męztwa. W miarę zbliżania się Napoleona zawiązki towarzystw występowały jawnie. Patrjotyzm jak szał obejmował

wszystko i wszystkich. Nie dziw więc, że i młodzieniaszki szkolne również nabierali popędów do jakiegokolwiek czynnego żywota. Wtedy to Zan powziął pierwsze zarysy czy pomysły jakiegokolwiek ugrupowania młodzieży obok jakiejś myśli przewodniej. Później na Wszechnicy wileńskiej w miarę zbliżania się grupy młodych współpracowników, powstawało to sławne w dziejach Litwy całej *stowarzyszenie Filaretów*, a potem ciaśniejsze kółko *Filomatów*. Prawo gwarantowało to stowarzyszenie uczuć, oparte na wzajemnem ułatwianiu nabycia wiedzy i wzajemnej kontroli dobrych obyczajów. Pierwotnie nawet filareci nie mieli rozleglejszych celów. Lecz z czasem młodzież pracowita musiała się zetknąć z towarzystwem patrjotycznem, wolnych murarzy, węglarzy itp. i swą koleżeńską przyjaźnią sięgnąć dalej i głębiej niż sięgały zbyt systematyczne towarzystwa wspomniane. W 1815 r. Leonard Chodźko zapisując się na wykłady wszechnicy wstąpił do towarzystwa filaretów. Uczęszczając na kursa prawne, słuchając wykładów Malewskiego Symeona, Znoski Jana, Borowskiego Leona, a także tak wielkiego wpływu po wsze krańce Litwy—Lelewela, Chodźko nabrał zamiłowania do prac historycznych i schodzić z drogi tej nie myślał już wcale.

Dawniej jeszcze w Mołodecznie w zabawach dziecinnych Zan, Suchocki, Chodźko i in. często dzielili się na partje i prowadzili pospólnie walkę. Zan bywał wówczas Apolem, Chodźko — Epaminondasem a bursacy z Suchockim-Marsem stronnictwem przeciwnem. W Wilnie zażyłość stawała się większą i Zan zbliżył Leonarda z Mickiewiczem.

Dawniejsze stosunki łączyły rodzinę Chodźków z Ogińskimi. Po skończeniu studjów książę Michał Kleofas Ogiński, senator, wziął Leonarda na sekretarza. Związki jego z filaretami musiały słabnąć, ale za to gdy cios uderzył w to stowarzyszenie Chodźko bezpieczny był na obczyźnie.

W roli sekretarza jeździł do Kijowa, w następnym (1820) roku do Petersburga, a w 1822, opuścił całkiem Litwę. Dzisiejsze ułatwione podróże nie podobna porównywać do tamtoczesnych, dziś za granicę puszcza się niejednokrotnie bez grosza zbiegły z katorgi lub z Sybiru Polak miatieżnik, dziś nawet liczne rodziny chłopów w obec ucisku Moskali posuwają się aż do Ameryki, ale przed powstaniem listopadowem, podróż po zagranicę była czemś zbytkownem, luksem dostępnym tylko dla magnatów. Z rozkoszą więc przez Memel, Królewiec, Berlin, Drezno i Mnichów udali się do Włoch Ogiński z Chodźką i najdłużej bawili we Frorencji. A tak upływał czas aż do 1826.

Ogiński chciał drukować swe pamiętniki, a na ten cel najodpowiedniejszym był Paryż. Tam więc obaj skierowali swą podróż. A Chodźce w udziale dostało się przezieranie i doglądanie druków tych pamiętników. Wtedy to na dobre Chodźko został wciągniętym na drogę badań historycznych, którym z razu może nie myślał poświęcać się całkowicie — lecz bawiącemu we Francji nasunęła się mu myśl zaznajamiać Francuzów i w ogóle Europę z naszemi dziejami.

Praca podobna była wielką i ważną. O naszej ojczyźnie i o naszej historji nie wiele wiedziała Europa, i mnóstwo błędów krążyło. Trzeba było zaznajomić powszechność tamtejszą z nowszemi badaniami nad naszą przeszłością. Tu historyk nie mógł być badaczem suchym i ślęczeć nad kronikami — tu wymagała się żywość wykładu jakim celują Francuzi i znajomość najświeższych dzieł historycznych. Zatem badania Chodźki o historji polskiej musiały przybrać zamiast cechy poszukiwań pracowitych, jedynie wierność obrazów i pojęcie należyte stosunków życia ubiegłego. Musiały one być rozległe i ztąd też tracić na głębokości. Czuł to sam pracownik. Nie tajnem mu było wyjątkowe jego położenie, nie dające nawet środków, jakiemi są bogate zbiory zabytków dawnych historycznych i piśmienniczych pamiętników. Stosunki, w które wchodził, wydając pamiętniki Ogińskiego, otwierały mu pole nowych pomysłów i powziął zamiar wydania historji legjonów polskich, jako epizodu najbardziej zajmującego Zachód, wykazującego wdawanie się nasze w sprawy rozwoju oświaty i jakby ciążenie na szali postępu.

Odważyć się wystąpić ze swą pracą w obec tych ludzi sławy we Francji, nie od razu mógł młody kandydat wileńskiej wszechnicy.

Jednak pamięć łączyła go z dawnymi towarzyszami ław szkolnych, rozpędzonymi po różnych miejscach Moskwy. Już wtedy przychodziła myśl założenia drukarni polskiej w Paryżu, gdzie przedtem żadne dzieło nie było nigdy w naszej mowie wydanem. Pomysł ten trafił i do Klementyny z Sanguszków Ostrowskiej. Przy jej pomocy na pierwszy raz postanowiono wydać zbiór poezji Adama Mickiewicza. Nie było co zwlekać mając środki. Prawa własności literackiej nie istniały wówczas, nie mogły krępować wydawców; Mickiewicz i koledzy jego rozproszeni nie przedstawiali możliwości szybkiego porozumienia z powodu braku komunikacji. Robić nie było co. Poezje Adama idą pod prasę nowemi czcionkami i w Paryżu, a sam Leonard Chodźko z Podczaszyńskim zajmują się ich korektą. Kto, nie będąc drukarzem, podejmie się korekty, jeżeli zecerami będą cudzoziemcy nie umiejący słowa po polsku, ten dopiero może poczuć ogrom pracy w podobnem przedsięwzięciu. Trudności jednak zwalczono i oto pierwsza księga polska wyszła z pod tłoczni paryskich.

Od czasu tego dużo wyszło dzieł polskich po za granicami naszego kraju. Niejedno małe miasteczko francuskie za innych prawnych ustaw było świadkiem narodzin emigranckiej broszurki; ale pierwszeństwo w wydawaniu na obczyznie dzieł polskich — należy zabiegom Chodźki i Ostrowskich.

Szczupło grono Polaków przebywało wtedy w Paryżu, jednak z niego kilka imion zabłysło później na chwałę narodu. Grono to współczuło i popierało usiłowania wymienionych pracowników. Niektóre rysy życia tego grona mogą objaśnić wyjątki z listu Chodźki do Mickiewicza 3 Maja 1828 r. z Paryża. One zarysowują dokładnie ówczesne usposobienie i jakby ten programat, którego trzymać się nadal postanowił Chodźko i jak rozumiał swój pobyt na obczyźnie.

„Gdy w r. r. 1822 opuszczałem Litwę z ks. M. K. Ogińskim, jako jego sekretarz; gdy po czteroletnim jego pobycie w Niemczech, we Włoszech, w Belgji, w Hollandji i w Anglji, zahaczyłem się w Paryżu, aby ogłosić *Pamiętniki Ogińskiego*, tem bardziej zaczęły się sprawdzać dawniejsze moje wewnętrzne przeczucia, iż w miarę mojej możności, przyczynię się za granicą do propagandy *rerum polonicarum*. Głównem mojem dążeniem jest odświeżać przeszłość, a bronić teraźniejszość polską przed światem, a więc w języku francuskim jako najpowszechniejszym. Pamiętniki Ogińskiego otwierają to pole, a przygotowuję teraz materjały do *Historji legjonów polskich we Włoszech*, jako wstęp do legjonów naddunajskich i w Santo-Domingo i za księstwa warszawskiego, aż do r! 1815. Przed Francuzami trzeba zacząć od tego co im jest znanem, aby później zamiłowali w dawnej naszej historji, jeżeli przyjdzie do tego, iż się cofnę w odległą wsteczność. Jak się to wszystko dokona, zostawuję woli Boga... Jakim sposobem, jakim kosztem i przez wiele lat Bóg dozwoli mi pracować na tej narodowej niwie, czyż mogę wiedzieć? Ale że wiem, iż nic mię nie zrazi i wytrwam niepodlegle i poczciwie w swej pracy *usque ad finem!*" Za dewizę ulubioną swej pracy położył: *fais ce que dois, advienne que pourra*, rób coś powinien, a nastąpi co może.

„Gdy poprzednicy nasi po całym prawie globusie dobijali ich niepodległości, z orężem w ręku, a gdy my, tym sposobem, nie możemy teraz tego dochodzić, a więc jak nam radzi J. J. *Rousseau*, protestujmy, poświęcajmy się, cierpmy, aby zaborcy nasi *nie mogli nas strawić*, a zatem, prędzej czy później muszą oni udławić się od tej *niestrawności*, a Polska zajaśnieje jeszcze wielka i swobodna!" Ta polityka oporu biernego rozwijała się w zasadach Chodźki. On wiedział, że sama sprawa swą niestrawnością zadławi carat. Trzeba było tylko wyszukać środki, by działanie niestrawności przyspieszyć. Ztąd też podjął się druków polskich doglądania, jako jeden z tych czynów powinności i obowiązku obywatelskiego, który w obec cenzury i prześladowania piśmiennictwa w kraju, dla dobra narodu podnosi myśl wolnej prasy, a za czyn najżywszego patrjotyzmu wygłasza myśl rozwoju piśmiennictwa i nauki w narodzie.

Ciekawe są szczegóły powstania tej drukarni polskiej. W przytoczonym liście Chodźko pisze: „Nim się sprawdzą te sny publikat francuskich, ciążyło mi na sercu sprawozdanie *rzeczywistości polskiej*, to jest założenie drukarni polskiej, a więc odlanie liter; lecz gdy to nie robi się bez pieniędzy, a więc udałem się do pani Ostrowskiej, która, z właściwą i patrjotyczną sobie szczodrobliwością, ofiarowała swoją pomoc. Ponieważ gonitwy Twoje, zruszyły cię z Wilna, a niedostatek musi ci dokuczać, postanowiliśmy zatem, iż pierwsze dzieło polskie zacznie się od Twych poezji, i cały zysk ze sprzedaży będzie poświęcony dla Ciebie. Odlanie liter, druk, papier i broszowanie 1000 egzemplarzy, kosztowały 6000 franków. Cena egzemplarza po 10 franków. Pani Ostrowska bierze z sobą do Warszawy w poczwórnej swej karecie 200 egzemplarzy. Po ich rozprzedaniu w Polsce, Joachim Lelewel zatrudni się przesłaniem ci pieniędzy. Inne egzemplarze ja tu spieniężę i przeszlę gdzie wskażesz. A te, co się pozostaną, znajdziesz w Paryżu, gdy tu przybędziesz, bo dlaczego byś tu kiedyś nie przybył, a znajdziesz grosiwo, które będzie użyteczne."

Zawdzięczając zatem jednej z tak rzadkich istot śród naszych zamożnych obywateli, coby nie żałowali nakładów na druk pożytecznego dzieła, pani z Sanguszków z Lubartowa Ostrowskiej, Mickiewicz choć w przyszłości mógł mieć olbrzymie na tamte czasy, a tak skromne, w porównaniu z zagranicznemi, *honorarjum* 4000 fr., zebrane nie prędko, kapaniną. I to było pomyślnie na owe czasy, gdy bezpłatnie i bez wynagrodzenia przedrukowywały się poezje Mickiewicza we Lwowie, a później we Wrocławiu i u tego sławnego wyzyskiwacza polskiej literatury i polskich poetów lipskiego Brokhausa.

„Przeznaczenie chce — pisze Chodźko — abym się zajmował propagandą dzieł twoich. Zapewne przypominasz sobie z jaką gorliwością zbierałem prenumeratorów na twoje pierwotne wydanie wileńskie 1822 i gdy z tej okazji po kilka-

krotnie zachodziłem do twego mieszkania, do budynku dawnego trybunału litewskiego, na placu katedralnym za zamkową bramą. W starych schodach brakowało kilka poprzecznych desek, i wzajemnie śmieliśmy się, aby nie skręcić karku wstępując lub zstępując z tych trybunalskich schodów. Udało mi się zabrać z sobą egzemplarz tego wydania i z niego to przedrukowywałem wydanie paryskie. Portret twój zdobiący te wydanie przesłany mi był, *własnoręcznej* roboty Joachima *Lelewela* piórem i atramentem nakreślony. Widzisz więc iż zawsze myśleliśmy o tobie." Szczegół dotyczący portretu Adama przy wydaniu paryzkiem był nieznany. Zwracamy nań uwagę.

Równocześnie z Listem Chodźki pani Ostrowska pisała do Mickiewicza:

„Dzieląc się z mieszkańcami ojczyzny naszej, podziwieniem dla płodów pięknej literatury i szacunku dla jego sposobu myślenia, daruje mi Pan, że lubo Mu wcale nieznajoma, *ośmieliłam się* jednak z mojej strony *przywieść do skutku* to co mię zajmowało od niejakiego czasu."

„Przybywszy do Paryża, zobowiązałam pana Leonarda Chodźkę, żeby się zajął wydaniem poezji Pana. Pierwsze to dzieło wydrukowane w języku polskim w stolicy tutejszej, będzie zapewne przyjemną pamiątką wzniesioną dla mowy polskiej i dla poety, *którego dzieł ogłoszenie zachęci innych do naśladowania podobnego rodzaju przedsięwzięć.*"

„Jeżeli przez ofiarowanie Panu całego dochodu ze sprzedaży poezji Jego edycji paryskiej, choć w części przyczynię się do ulżenia losu prześladowanej Jego osoby, przyjemnie mi będzie tym małym dowodem mojego szacunku dla jego pięknego talentu, *złożyć hołd razem ojczyźnie i językowi polskiemu.*

Klementyna z Sanguszków Ostrowska."

Co za prostota listu naszej arystokratki, dziedziczki obszernych włości, składającej hołd literacie-poecie! Liczyłem sobie za obowiązek podać do powszechnej wiadomości te słowa z dodatkiem, że podobnie składa hołd ojczyźnie i językowi jeszcze jeden tylko hrabia w Polsce — Działyński, drukując naukowe dzieła matematyczne. Innych bogaczów przykład Ostrowskiej dotąd nie zachęcił jeszcze.

Nie prędko Mickiewicz mógł odpowiedzieć na list Chodźki i Ostrowskiej. Wygnanie do Moskwy poety naszego nie pozwalało mu się wydalać z kraju i przypadkowo zaledwie wydobywszy paszport wyjechał w 1829 za granicę ojczyzny, by do niej już więcej nie wrócić, chociaż tego wcale nie spodziewał się. Z Zurichu 19 września 1829 odpowiada On:

„Kochany Panie Leonardzie,

Nie miej mi za złe, że twój dawny miły list, tak długo zostawiłem bez odpowiedzi. Wiesz, w jakiem znajdowałem się położeniu, w ostatnich czasach pobytu w Rosji, wiele nowych przybyło kłopotów. Przejażdżki moje z Moskwy do Persburga, starania się o paszport, wybieranie się w drogę, wszystko to nie dało mi o niczem innem pomyśleć, i ledwie teraz odetchnąłem. Praca, którą podjąć raczyłeś około wydania paryskiego, tem milsza dla mnie, że dowodzi twej o dawnych kolegach pamięci. Możeby lepiej było, gdybyśmy pierwej porozumieli się, inaczej bym się rozrządził z wydaniem petersburskiem, które właśnie wówczas rozpoczęte, przed wyjazdem skończyłem, i którego ci egzemplarz posyłam. Zachowaj go na pamiątkę szczerej życzliwości. Nawzajem upraszam abyś mi do Rzymu przesłał *Historję Legjonów*. Słyszałem wiele o niej, po drodze w Niemczech, ale dotąd jeszcze nie udało mi się przeczytać. Zapewne, za Alpami zaraz się spotkam; życzyłbym jednak mieć od autora egzemplarz.

O sobie nie wiele mam do doniesienia. Włóczyłem się wiosną i latem po Niemczech. Ztamtąd przyszłego lata nową przedsiębiorę podróż, której zakres od różnych okoliczności zależeć będzie. Na przyszłą zimę (jeśli nie pierwej) do Paryża na długi zapewne pobyt zjeżdżam. O Polsce niech ci Odyniec donosi, ja teraz nawet przez nią nie jechałem!

Wyglądam od ciebie listu w Rzymie; jeżeli masz co o interesach wydania paryskiego mnie komunikować, najlepiej teraz listownie wszystko ułatwić możemy. Mój adres: Roma, via monte di Brienzo, Palazzo Ferucci N. 20.

Poznaj się proszę z P. *David*, rzeźbiarzem, moim dobrym znajomym z Wejmaru; daj mu w mojem imieniu egzemplarz wydania paryskiego, i proś, aby ci odemnie dał odlew mojego portretu, który on świeżo ulepił.

Twój życzliwy sługa A. Mickiewicz."

Koło gości polskich w Paryżu, jak mówiłem, było dość szczupłe: Władysław Ostrowski, pułkownik, (mąż wymienionej Klementyny), Tekla Potocka, wdowa po Włodzimierzu, z synami, przy których był nauczycielem Podczaszyński Michał, synowiec tegoż nazwiska profesora wileńskiej wszechnicy, a współpracownik *Dziennika warszawskiego;* trzej bracia Oleszczyńscy Antoni, Seweryn i Władysław, artyści: rzeźbiarz, jeograf-kaligraf i medalier, Sowiński z Podola, sławny później, a dziś może jeden z najsławniejszych śród żyjących muzyków — Polaków; Teodor Morawski z Kaliskiego. Kółko to później się rozchwiało; lecz każda wchodząca weń jednostka wtedy miała wyższą wartość i w całości stanowiła cząstkę pięknego bukietu.

Ruchawy Chodźko nie zasypiał i z Podczaszyńskim Michałem, po wydaniu Mickiewicza poezji zaraz zajęli się wydaniem w jednym tomie dzieł Krasickiego Ignacego w nakładzie p. *Barbezat.* Pamiętniki Ogińskiego były już wyszły na świat.

Kółko polskie musiało się zbliżyć ze społeczeństwem francuskiem. To też zapoznał się Leonard Chodźko z jen. *Lafayettem,* przy pośrednictwie Armanda *Carrel'a,* dziennikarza głośnego podówczas. Zbliżenie to tem bardziej utrwalało myśl pisania da Francuzów o Polsce. „Po ukończeniu teraźniejszego mozołu nad historją legjonów mam zamiar ogłosić *Obraz Polski dawnej i spółczesnej.* W r. 1807 sławny geograf *Malte-Brun* napisał coś w podobnym rodzaju; gdym przybył do Paryża w 1826, poznałem go i naradziliśmy się nad nowem wydaniem; ale w grudniu tegoż roku umarł. Cokolwiekbądź, gdy przyjdzie do nowego wydania, tak dalece będzie ono przerobione, iż stanie się zupełnie nowem dziełem." Wychodziła wówczas *Biographie universelle et portative des contemporains des hommes célèbres, morts ou vivans avant, pendent et depuis la revolution française* pod kierownictwem Alfonsa *Rabbe* i *Vieilt de Brisjolin.* Do niej przygotował Chodźko krótkie wzmianki o 260 Polakach, które weszły do wymienionej encyklopedji. Z tego powodu pisze Ch. do Mickiewicza: „Tym sposobem poraz pierwszy wyjdzie coś porządnego; nie będziesz tam zapomniany. Oprócz tego dostarczyłem materjałów do obszernego o tobie artykułu, do najważniejszego tu przeglądu: *Revue Encyclopédique* przez jednego Francuza." Chodźce chodziło tylko o rozszerzenie wiadomości prawdziwych o Polsce i Polakach i wtedy to pisał: „Główną moją myślą jest, aby dobrze tu oceniano rzeczy polskie bez naszych podpisów, chcę sprawdzić przysłowie francuskie: *il vaut mieux être que paraître.* Czas wielki, sprostować błędy i potwarze miotane na Polskę i na Polaków. O tem jedynie myślę i tem oddycham. Jeżeli los przeznaczył, iż mam być głównym przełamywaczem lodów polskich za granicą, niechże i tak będzie! Wszak tym sposobem nie biorę żadnego na siebie monopolu, każdemu jest otwarte pole w Paryżu, gdzie nie ma cenzury i wolność zupełna na drodze naukowej i literackiej. Im więcej będzie pracowników, tem lepiej będzie dla nich i dla sprawy polskiej." (C. d. n.)

O NIEWIDZIALNYCH NIEPRZYJACIOŁACH
ISTOT ORGANICZNYCH

napisał

PROF. KAROL GUTKOWSKI.

Ogół wszystkich żyjących istot na ziemi porównać można do skąpo wyzionięty pary, która na powierzchni olbrzymiej kuli krótki stosunkowo czas pozostaje, aby po chwili rozpłynąć się w powietrzu i w większej części ukryć przed wzrokiem badawczym człowieka.

Wnętrze ogromnej kuli ziemskiej jest z wyjątkiem cienkiej skorupy zewnętrznej dla nas nieprzystępne, niemniej także niezmierzone i nieograniczone morze powietrzne, którego dno służy za siedlisko swobodnego rozwoju ludzi, zwierząt i roślin. Jemu to słusznie należy się homeryczny przydomek „martwy pusty ocean", ponieważ nawet ptaki zanurzają się tylko na chwilę w jego ruchliwych falach, aby niebawem sięgnąć do dna, które jest ich właściwą ojczystą siedzibą.

Dwieście lat temu, gdy uzbrojone mu szkłami powiększającemi oku Antoniego Leuwenhoecka po raz pierwszy udało się dostrzedz w powietrzu miniaturowy światek istot, które nietylko ziemię i wodę lecz także powietrze atmosferyczne obficie napełniają. Około połowy września 1675 badał Leuwenhoeck za pomocą mikroskopu wodę deszczową, która przez kilka dni pozostawała w kadzi. Odkrył on w niej wielkie mnóstwo żyjących istot rozmaitego gatunku drobniejszych, niż najdrobniejsze dotychczas poznane owady wodne. Świeża deszczówka i świeżo spadły śnieg nie miały takich żyjątek. Skoro jednak woda deszczowa przez kilka dni zostawała w zetknięciu z powietrzem, okazywały się w niej życiem obdarzone istoty i z każdym dniem przybywało ich coraz więcej; nadto gdy wodę wlano na potłuczony pieprz, mnożyły się w liczbie nieokreślonej.

Głęboki myśliciel Leuwenhoeck nie poprzestał na skonstatowaniu faktu o bytności jestestw w wodzie deszczowej, lecz zadał sobie pytanie, zkąd się wzięły te stworzenia w wodzie. Nie powstały same z siebie, (była na to odpowiedź), tylko dostały się tu z powietrza. Przyczyną, dlaczego w wodzie, w której roślinne szczątki ulegają rozkładowi, w większej pojawiają się liczbie, była obecność drobin pokarmowych, która ułatwiała ich rozród. Już Anaxagoras twierdził, że powietrze zawiera rozmaite nasionka, z których po dostaniu się do wody powstają ożywione istoty.

Nic więc dziwnego, że odkrycie nowego świata istot mikroskopicznych zdawało się być współczesnym, bajką, lub fantastycznym utworem — urojeniem z błędnego sposobu obserwarcji wynikłem.

Królewskie towarzystwo naukowe w Londynie nie mogło dać wiary wiadomości podanej przez Delftyńskiego badacza o odkryciu nowego świata mikroskopowego, ponieważ w owym czasie drobnowid nie był narzędziem tak udoskonalonem, jak dziś. Dopiero po oświadczeniu prezydenta tegoż Towarzystwa na posiedzeniu dnia 15. listopada 1677 r. odbytem, że jemu również udało się dostrzedz za pomocą mikroskopu na ten cel sporządzonego drobne żyjątka w wodzie, spisano protokoł i ponieważ między podpisanymi na protokole, znajdowali się mężowie słynni erudycją, przeto o istnieniu świata niewidomego w wodzie wątpić już nie można było. Czy jednak w ten sposób udowodniono dosadnie, że żyjątka wykryte pochodzą z powietrza? Czy początek ich nie może być podobny owej pstrej pleśni okrywającej zbutwiałe owoce lub ulegające rozkładowi artykuły spożywcze? Lub owym delikatnym pęcherzykom, które Leuwenhoeck w fermentującem piwie dostrzegł, które odtąd grzybkiem drożdżowym nazywamy? Podobny owym pyłkom, zwanym bakterjom pojawiającym się wszędzie, gdzie tylko kiśnienie i zgnilizna się odbywa?

Gdyby jednak te ukryte niszczyciele z powietrza miały spadać na ziemię, natenczas świat cały napełniłby się zarodkami rozmaitego gatunku. Człowiek, zwierzęta i rośliny otoczone byłyby niewidomymi nieprzyjaciołmi, czyhającymi na to tylko, aby ze zgaśnięciem iskry życia rzucić się na bezwładne martwe ciało i rozpocząć na nim dzieło zniszczenia. Czy w istocie udowodnioną jest rzeczą, że wszystkie te żyjątka powstają z zarodków? Czyż nie mogły same z siebie powstać? Prawda, że nie brak i dzisiaj uczonych, którzy w tak zwane samorodztwo wierzą, lecz nauka dawno już przyklasnęła śmiałemu pomysłowi Leuwenhoecka i innych uczonych mężów, którzy odrzucając tę nieuzasadnioną teorję doświadczeniami stwierdzili, że tak wymoczki jako i inne zwierzątka niezawdzięczają pochodzenia swego samorodztwu. Jeżeli bowiem przystęp powietrza od zewnątrz wstrzymamy lub zarodki, które się przypadkiem dostały za pomocą wyskoku lub kwasu karbolowego zniszczymy, nateczas wspomnione zwierzątka się nie wytworzą.

Każdej gospodyni wiadomo, że przegotowaniem zakonserwowanych i cukrem zaprawionych owoców usunąć można pleśń z takowych. Jeszcze skuteczniejszym środkiem ochraniającym potrawy od zepsucia jest hermetyczne zamknięcie naczynia, w którem się wspomniane artykuły pokarmowe znajdują. Wprawdzie powyższe doświadczenia nie mogą nas dokładnie przekonać o istnieniu zarodków w powietrzu. Nauka musi podać nam niezbite dowody — nie może się zadowolnić kilkoma faktami, jeżeli ma wydać wyrok słuszny i prawdziwy — musi ona własnemi oczyma zjawisko pewne zbadać.

Jeżeli zatem mamy dać wiarę twierdzeniu, że niewidzialne nieprzyjacioły życia organicznego powstały z zarodków, które w powietrzu atmosferycznem w niezliczonej mnogości się unoszą, natenczas musimy przedewszystkiem rozeznać i poznać je w powietrzu.

Wiadomo powszechnie, że powietrze atmosferyczne wypełnione jest drobnemi ciałkami — delikatnym pyłkiem, który w świetle tak dziennem jakoteż i sztucznem przed naszem okiem się ukrywa, który atoli w postaci świecących punkcików się pojawi, skoro ciemną przestrzeń oświetli promień słoneczny. Drobne te ciałka rozmaitego kształtu to się wznoszą, to opadają, to ustępują miejsca innym, a cała smuga świetlna podobna jest drodze mlecznej, na której miliony rozsiało się gwiazd Gdyby ciałka te pyłkowate można wprost umieścić pod mikroskop i zbadać takowe, natenczas łatwiej byśmy sobie mogli zdać sprawę z ich budowy i pochodzenia; lecz ciągła ich ruchliwość, ciągłe krążenie i uwijanie się czynią niepodobnem zbadanie takowych pod mikroskopem i wydania o nich jakiegokolwiek orzeczenia.

Było przeto głównem zadaniem umiejętności wynaleźć sposób wniknięcia w tajemnicę tej zagadki naukowej, gdy około zbadania mikroskopowego świata zasłużony Ehrenberg łatwy podał środek przekonania się o właściwościach owych w powietrzu zawieszonych ciałek. Na powierzchni wszystkich ciał osadza się zwykle pył; nasze gosposie muszą codziennie dokładać starania, aby go ciągle zbierać, a mimo to najmniejszemi szczelinami i szparami wciska się niespostrzeżenie i nieproszony zapełnia niemal każdy kątek. Po kilku godzinach tworzy cieniuchną warstewkę szarą, podobną do osiadłej pary, po kilku dniach warstwa staje się grubszą a po miesiącach i latach powstaje znaczny pokład. Niezaprzeczoną jest prawdą, że warstwy rzeczonego pyłu powstają i układają się w ten sam sposób, jak drobne cząstki ziemne zawieszone w wodzie tworzą osad namułem zwany.

Wstrefach ciepłych — szczególniej na zachodniem i północnem wybrzeżu Afryki, gdzie skutkiem wysokiej temperatury i znacznej posuchy bardzo wiele pyłu się wytwarza, nie brak częstokroć deszczów błotnych i mulistych. Niekiedy porwane prądem wiatrów masy pyłu spadają bez pośrednictwa deszczu na ziemię, jeżeli w górnych warstwach powstanie prąd z kierunkiem ku ziemi. Niektóre okolice strefy zwrotnikowej nawiedzone są niemal corocznie podobnemi osadami i to niekiedy w takiej ilości, iż wegetacja na tem bardzo cierpieć musi.

W roku 1847 wspomniany już wyżej Ehrenberg udowodnił, że owe deszcze błotne pochodzenie swe zawdzięczają prądom silnym powietrza, które te masy pyłu przez oceany z Ameryki południowej sprowadzają. Przekonał się bowiem, że deszcz błotny prócz drobno rozmiażdżonych cząstek ziemnych, składa się także z ułamków pancerzy, okrzemek i wymoczków, a między niemi znajdowały się takie gatunki, które wyłącznie w Ameryce południowej żyją, lub wstanie skamieniałym jako szczątki organiczne tamże napotykamy. Widoczna przeto, że dostają się one do Afryki i Europy skutkiem silnych wiatrów i to najprawdopodobniej z pustych stepów niezmierzonych równin Llanos lub Pampas. Częstokroć pył ten przybiera rozmaite barwy: ciemne, czarniawe, cise, różowe, nawet czerwone. Osad barwy czerwonej dał bardzo często ludziom, nieumiejącym sobie tego zjawiska wytłumaczyć, powód do zabobonnego wierzenia o spadaniu krwawego deszczu lub śniegu i do wysnuwania ztąd przepowiedni o klęskach mających spaść na plemię ludzkie.

(C. d. n.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

XI.

Chiromancja.

Mniej danych do rozwoju posiada sztuka poznawania charakterów, na pojedynczych tylko cechach oparta, jak np. Chiromancja.

Wróżenie z rąk należało i należy jak wiadomo do najpospolitszych. Istnieją nawet całe książki poświęcone tej cygańskiej sztuce, a mianowicie dowcipne dzieło d' Apertigny'ego „La science de la main“ — a więcej jeszcze metod wróżenia praktykuje się na świecie bez pretensji do naukowych systematów.

Nie potrzebuję mówić, że o ile sztuka ta chce w drobnych linjach i bruzdach dłoni wyczytywać przyszłość człowieka, o tyle jest poprostu kuglarstwem, chociażby mu towarzyszyła pewna bystrość umysłu i doświadczenie życiowe, prowadzące do trafnych wniosków. Ale nie idzie bynajmniej za tem, ażeby pomiędzy ustrojem całego organizmu, charakterem ogólnym jego funkcyj i rodzajem pracy jednostki z jednej, a budową i formą ręki z drugiej strony, nie miał istnieć pewien związek symboliczny. Owszem, można go umotywować zupełnie ściśle na gruncie anatomii porównawczej zestawiając łapy i ręce różnych istot. U człowieka, który znaczną część swego postępu zawdzięcza szczęśliwej budowie ręki — ten związek jest od nich ściślejszym niż gdzieindziej. Nie należy tylko bawić się w cechy drobiazgowe, których geneza albo nie ma żadnego związku ze stanami umysłowemi, albo też wcale jej nie znamy.

Ogólny kształt ręki zależy od dwu przyczyn głównych: 1) od typu odziedziczonego po rodzicach i 2) od mechanicznych czynności i gestów, do których ręka przywykła. Zarówno zaś jedna jak druga przyczyna ma związek z ogólnym charakterem umysłowości. Na tej też zasadzie odróżniamy ręce *arystokratyczne* od *gminnych*, rękę *artystyczną* od *atletycznej*, wreszcie *kobiecą* od *męzkiej*.

Praca kowala lub drwala inne pozostawia ślady i cechy w budowie mięśni i własnościach skóry niż praca literata lub uczonego. Próbowano nawet ustalić różnice bardziej szczegółowe. *D' Apertigny* padał 7 typów głównych: elementarny, artystyczny, pożyteczny, filozoficzny, psychiczny i mięszany.

Ale *Carus* bardzo słusznie w dziele swem: „Symbolik der Menschlichen Gestalt (1852 i 58) sprowadził te typy do 4 zasadniczych. Opiszemy je pokrótce.

1) *Ręka elementarna* przedstawia typ pierwotny, najbardziej zbliżony z jednej strony do ręki dziecinnej, z drugiej do łapy małpiej i do ręki niższych ras ludzkich.

Dłoń w niej stosunkowo największa i gruba, palce za to krótkie, ale także grube łopatowate, paluch mały a gruby i przytępiony. Jest ona zwykle mięsista, niezgrabna, często grubemi włosami porośnięta i pobrózdowana. Zarówno u mężczyzn jak u kobiet charakteryzuje organizacje gminne, nieudolne.

2) *Ręka motoryczna,* symbolizująca zdolność do czynu, do pracy, energję, trafia się prawie wyłącznie u mężczyzn. Bywa nieraz nawet większa od poprzedniej, ale dłoń w stosunku do palców jest znacznie mniejszą niż u tamtej. Silna budowa kości i mięśni, ścięgna i żyły widoczne: dłoń niemal dokładnie kwadratowa, a palce choć dłuższe niż w poprzedniej ale nie cienkie. Paluch szczególnie silnie rozwinięty. Jeżeli dosięga do środkowego stawu innych palców oznacza wyjątkową energję i siłę woli — (podczas gdy przeciwnie krótkość i ogóle słabe rozwinięcie palucha oznacza miękkie charaktery). Skóra zwłaszcza wierzchnia gruba i szorstka.

3) *Ręka uczuciowa,* albo raczej wrażliwa, typowo kobieca, ma cechy wprost przeciwne. Wielkość w ogóle mała, powierzchnia skóry delikatna zarówno jak i cała budowa mięśni, ściągien i kości. Długość dłoni przewyższa cokolwiek jej szerokość. Paluch mały i słaby. Inne palce nie krótkie ale bardziej zaostrzone owalną linją. Paznogcie delikatne i podobnie zaokrąglone. Typ takiej ręki dał Coreggio w swojej drezdeńskiej Madonnie.

4) *Ręka psychiczna,* duchowa, wskazująca w ogóle wyższy i harmonijny rozwój władz umysłowych, jest najrzadszą i najpiękniejszą jej formą. W budowie swej odbiega ona najbardziej od elementarnej. Trafia się zarówno u mężczyzn jak u kobiet, ale tylko w najbujniejszej epoce życia. Wielkość jej średnia, mniejsza od motorycznej, większa od uczuciowej, rozumie się z uwzględnieniem wpływu wzrostu. Dłoń gładka zaledwie kilkoma linjami porysowana, smukła, i podobnie jak w uczuciowej nieco dłuższa niż szeroka. Palce długie ale wyjątkowo foremne i pięknie zaostrzone, gładkie bez mocnych brzuszków (jak to ma miejsce w motorycznej a tembardziej w elementarnej, paznogcie wydłużone foremnie a ostatnie stawy szczególnie długie, lecz regularnie zaokrąglone. Paluch delikatny ale nie mały. Grzbiet pokryty bardzo drobnemi i bardzo delikatnemi włoskami.

Co do więcej drobiazgowych rysów, mianowicie owych linij na dłoni, to jak wspomniałem, wszystko co się o nich pisze w duchu chiromancji nie ma absolutnie żadnej podstawy racjonalnej; ale zarazem jest możliwem, że jako cechy antropologiczne, będą one mogły być uwzględniane, jak skoro zbierzemy większą ilość danych pozytywnych. Tak np. Serve w sprawozdaniu złożonem akademji paryzkiej (1852) wykazał, że tak zwana przez starożytnych *linja szczęścia,* t. j. kresa idąca wzdłuż środka dłoni ku podstawie środkowego palca, może być uważana za wyłączną cechę rassy kaukazkiej czyli białej. Przynajmniej d'Abladie, oglądając blisko 1000 rąk Abissyńskich na żadnej z nich linji tej nie znalazł; podobnież nie znaleziono jej u Etiopczyków, Jawańczyków, u dzikich z północnej Ameryki, u Chińczyków i Mongołów.

Ogólne typy mają także związek z różnicami ras. Ręka uczuciowa i psychiczna trafia się tylko u ras wyższych. W rasie mongolskiej i malajskiej przeważa ręka elementarna, w amerykańskiej motoryczna.

W różnych warstwach wyższych ras znajdujemy oczywiście pomięszane te typy główne z mniejszą lub większą przewagą jednego. U gminu przeważać będzie typ pierwszy, drugi u ludzi nieco inteligentniejszych, ale u których czynność przeważa nad rozwagą i uczuciem; u artystów znajdziemy typ trzeci, u myślicieli, czwarty. Kombinacje inteligencji z niezwykłą energją i siłą czynu da rękę taką, jaką posiadał car Mikołaj, wielką, ale kształtną, o foremnych palcach i mocno rozwiniętym paluchu, będzie to ręka *motoryczno-psychiczna* itp.

Fizjologiczne cechy mogą mieć także pewne usprawiedliwione znaczenie. Tak np. ręka łatwo i często potniejąca charakteryzuje człowieka o wysokiej wrażliwości, nie przesądzając zresztą o mniejszym lub większym rozwoju inteligencji. Człowiek z ręką zawsze suchą i chłodną należy prawie na pewno do kategorji mało, a przynajmniej płytko wrażliwych. Ręka chłodna, martwo podawana, należy zwykle do ludzi nieuczynnych i skrytych, przeciwnie ciepła, ujmująca żywo i mocno charakteryzuje zwykle otwartych i uczynnych. Zresztą spostrzeżenia te stały się wyrażeniami przysłowiowemi: dać komuś „ciepłą ręką" znaczy dać zaraz i szybko, podać ręką „martwą, zimną jak lód" znaczy tyle co przyjąć, ale obojetnie, odpychająco. Ręka miękka przytem martwa i tłusta trafia się często u leniwych itp.

Ażeby zaś nie dopuścić przypuszczenia, że linja i kąty ich na dłoni są czysto przypadkowemi utworami, powiedzmy jeszcze kilka słów o ich pochodzeniu. Nie są to wprawdzie znaki tajemniczych przeznaczeń, ale przyczyna ich jest za to głębszą i bardziej godną badania. Są one z jednej strony *znakami szczątkowemi* dawnych bruzd rzeczywistych odziedziczonemi po odległych przodkach, z drugiej wynikiem ruchów i układu jakie częściej ręka przybiera. Są to więc tak drobne zmarszczki; jak te, które twarz w starości przejawia jako wypadkową najczęstszych ruchów fizjognomii. Wpadlibyśmy w prawdziwy labirynt, gdybyśmy chcieli z tych ruchów ręki tak rozmaitych i od tak wielu przyczyn zależnych, dochodzić wewnętrznego znaczenia. Bądź co bądź, budowa ręki jest wybitną cechą indywidualną i nie będziemy się dziwić, że Chińczycy używają jej dla sprawdzenia tożsamości osoby. W tym celu mianowicie dołączają, czy też dołączali dawniej do paszportów odbicie formy ręki na cienkim papierze przez posmarowanie jej poprzednio delikatną warstwą olejnej farby.

(C. d. n.)

A idźże już raz! nudziarzu!

— Wiesz co kochany aniele,
Dziś, gdym siedziała w kościele,
Przyszedł mi projekt do głowy,
Wypada nam dać wieczorek.
Cały plan mam już gotowy;
Kłopotów nie będzie wiele;
Dziś środa — myślę... we wtorek.
Daj buzi! jest amorek!

— No, no, no, jakie czułości!
Otóż co powiem jejmości:
Że to bardzo pięknie.... ale
Nie wiem czy kieszeń pozwoli;
Choć rozumiem doskonale,
Że... że są okoliczności,
W których człowiek mimowoli
Musi iść wbrew własnej woli.

— Ma się rozumieć! masz rację!
Już wiem co dam na kolację!
Tak jak u mamy: pasztety,
Krem śmietankowy, źwierzyna,
A na wety, a na wety...
Prawda! smażone akacje!
Kucharza wezmę z kasyna,
Ty się postarasz o wina...

— Zaraz, pozwól no kochanie!
Ciekawym ile zostanie?
Pensji mam dwieście czternaście,
Z tych, ile człowiek pamięta,,
Szmul złapie sto; a szesnaście
Potrącą mi, mocium panie,
Na raty — teraz,.. procenta..
Dobryś! figa! ani centa!

— Ani centa! jedno wiecznie!
Ależ potrzeba! koniecznie!
Słuchaj: był bal u sędziny,
Wieczór u radcy Konrada,
U Adamów imieniny,
U nas nic! to jest niegrzecznie!
Co wypada to wypada,
Idź i pożycz — trudna rada!

— Już ja sam o tem myślałem,
I owszem, duszą i ciałem,
Lecz chyba na zastaw jaki;
Inaczej nikt nie da grosza.
Czekaj, Icek wziął tumaki,
Na ostatni bal oddałem
Szmulowi serwis z pod klosza...
Chyba jeszcze twoja brosza?

— Prawda! to myśl doskonała!
A jam na śmierć zapomniała!
Na, masz, idź — a ja do mamy,
Pomówić z nią o kucharzu.
Potem się w mieście spotkamy;
Potrzebna mi suknia biała...
Przepis na krem... w kalendarzu...
A idźże już raz! nudziarzu!

M. Rodoć.

MAŁŻEŃSTWO KAROLCI

przez

MARC BELL.

Karolina Izambert przechadzała się wolnym krokiem po jednej z krętych alei pięknego parku w Horas. Pan Izambert z miną roztargnioną postępował obok swej córki, jakby szedł za nią sam nie wiedząc po co.

— No i cóż ojcze? — zagadnęła Karolcia.

—No, powiem mu że wszystko jest ułożone, załatwione, zatwierdzone i ukończone, ale że nietrzeba wspominać o tem ani słowa. Podług mojego przekonania jesteś za młodą żeby iść za mąż.

— Oh! mój ojcze, mam lat siedmnaście, a nieraz mówisz, iż jestem bardzo rozsądną na swój wiek. Zresztą to wniczem nie zmieni naszego życia, Moras będzie miało tylko jednego mieszkańca więcej.

— A potem kilku.

Karolina zarumieniła się i umilkła.

—Zresztą — odezwał się pan Irambert — wszystko to mnie nudzi. Byłem spokojnym i prawie szczęśliwym; a nic w świecie nie robi mi takiej nieprzyjemności, jak najlżejsza nawet zmiana. Odpowiedz sama temu nudnemu Jerzemu i daj mi pokój.

— Ale mój ojcze, gdzież ja będę widzieć pana Jerzego?

— Nic nie wiem i mało mnie to obchodzi, powiedział mi, że nie powróci aż dopiero wtedy, gdy ja mu pozwolę, ale do djabła wszystkie pozwolenia i wszyscy zakochani! Czy to nie było prostszem zwrócić się z tem wprost do ciebie niż zawracać mi głowę sentymentalnemi frazesami, których ja już wcale nie rozumiem?

— On wprawdzie próbował pierwej mówić o tem ze mną, lecz myślałam żebyś się gniewał ojcze, gdybym dała obietnicę bez poradzenia się ciebie. Zatem moja to wina jeśli cię znudził, przebacz mi.

—Czy ja mam zwyczaj się gniewać? Gdybym był surowym i zrzędnym do najwyższego

stopnia, to nie mogłabyś okazać większej skruchy, jak wyznając mi popełnione niedorzeczności. A przecież ja takim wcale nie jestem, jednak muszę przyznać, że nie pochwalałbym gdybyś słuchała oświadczeń jakiegoś młodego człowieka, nie otrzymawszy wprzód na to mego zezwolenia. Ale młode dziewczęta dzisiaj mają głowę przewróconą! Goniąc wiecznie za romantycznemi awanturami, biorą za bohatera pierwszego lepszego młodzieńca, który im powie kilka grzeczności i masz! głowa już zawrócona — to nędzne, nędzne!

— Ależ mój ojcze — wtrąciła Karolina — nieraz mi mówiłeś, żebyś był szczęśliwym mając Jerzego za zięcia.

— Dobrze! teraz go już nazywasz Jerzym poprostu. Doprawdy moja córko, to mnie dotyka boleśnie; ja bym tak lubił widzieć cię łagodną, spokojną, wstrzemięźliwą w słowach i czynach, a tymczasem ty jesteś... Zresztą odpowiedz Jerzemu co ci się podoba i poszlij Jana, żeby mu zaniósł list, ale niech już raz na zawsze wzmianki o tem nie będzie.

Karolcia pozostawszy sama, zaczęła dosyć smutnie rozmyślać nad przykrą nierównością charakteru pana Izambert. Znała się ona z tem od dawna, lecz do przeszłego roku jeszcze miała na złagodzenie i osłodzenie każdej rany bolesnej, najtkliwszą i najgorętszą miłość matki. Na nieszczęście pani Izambert przed kilku miesiącami z wycieńczenia sił zakończyła życie. Karolina uczuła całą doniosłość tej straty i charakter jej z natury poważny zachował po tem pierwszem ciężkiem zmartwieniu odcień głębokiej melancholii.

Miała ona zaledwie siedmnaście lat, kiedy zaczęto mówić o jej małżeństwie z Jerzym des Molneys, którego rodzina od dawnych lat była związaną blizkimi węzłami przyjaźni z jej własną rodziną. Jerzy był młodym człowiekiem o ślicznej powierzchowności i wysokiem wykształceniu, co złączone z pięknym majątkiem musiało się wydawać bardzo szacownem, tak rozsądnemu jak pan Izambert. Z drugiej zaś strony Karolina poznała w panu des Molneys szlachetne i dobre serce, w którem mogła znaleźć pewną pociechę na swe ciężkie i przedwczesne zmartwienia.

Po próżnem rozmyślaniu, w jaki sposób mogłaby dać znać o tem co zaszło panu des Molneys, nie pisząc jednak do niego, Karolina powróciła do zamku. Moras zajmuje jedno z najbardziej malowniczych położeń w departamencie Landes który nie jest tak ubogi w piękne krajo obrazy, jak to zazwyczaj utrzymują. Zamek oparty o olbrzymi las jodeł i zielonych dębów, pozbawiony swoich okrągłych wież, z których widać tylko rozsypujące się szczątki, z daleka sprawia wrażenie olbrzymiego, ponurego grobowca. U stóp wspaniałej kamiennej terasy, na którą wychodzą dolne apartamenta, rozciągają się wielkie grupy krzewów w starym parku. Terasa wysoka zakończona jest z każdej strony krętemi wschodami. Wschody te zniszczone czasem, nierówne, pełne szpar, w których kępkami rosną trawy i rozmaite kwitnące chwasty, mogą być same uważane za jeden z wdzięków starego zamku.

Panna Izambert doszedłszy do wielkiej kratowanej bramy, która park zamykała, przebiegła otwierające się przed nią aleje i weszła na terasę. Wzrok jej mógł ztąd sięgnąć w niezmierzoną przestrzeń. W niewielkiej odległości od Moras, wije się wdzięczna i przezroczysta Gelisa, maleńka rzeczka otoczona cyprysami, wierzbami i tysiącami innych miłośnie z sobą plączących się krzewów. Trochę dalej wznoszą się żyzne pola podzielone w dziwaczne kształty, odkrywające oku bogactwo rolne departamentu Lot-et Garonne po dzikiej piękności Landów.

Karolcia tak była zajętą, że wbrew swemu zwyczajowi nie spojrzała na wspaniały obraz rozciągający się u jej stóp. Oparłszy się z roztargnieniem o balustradę kamienną, maleńkie rączki swoje zanurzyła w gęste liście stojącej tam Osmundy Begalis. Bezmyślnie zaczęła otrącać długie blade listki pięknego kwiatu, kiedy przy obrywaniu ostatnich, wzrok jej padł przypadkiem na maleńki bilecik różowy kokieteryjnie zwinięty i tkwiący w samym kielichu. Instynktownie pochwyciła papier i zaniósłszy go do swego pokoju rzuciła się z nim na fotel. Tam jak dziecko nieostrożne, które bawi się trującą rośliną, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, poczęła go obracać na wszystkie strony w ręku. Drobniutkim, ścisłym, kobiecym prawie charakterem nakreślone były na nim te dwa słowa: *Panna Karolcia.*

Po bardzo długiej chwili namysłu młoda dziewczyna otworzyła wreszcie nieszczęsny papier i oto co przeczytała.

„Pani!

Ojciec pani został mocno skompromitowanym przez bankructwo pana Soubyran, swego serdecznego przyjaciela. Dla oddania mu usługi upadł nawet tak nisko, że nie wahał się popełnić fałszerstwa. Wszystko każe przypuszczać, że dla zachowania szacunku ogółu wykupił i zniszczył te fałszywe podpisy, ale w oczach trzech osób honor jego jest na zawsze straconym. W dniu ślubu pani trzy te osoby przysięgają, że pan des Molneys zostanie uwiadomionym o nieuczciwości swego teścia.

Podpisane: X. Y. Z.“

Wysączywszy ostatnią kroplę tej śmiertelnej trucizny, Karolcia pochyliła głowę na poręcz fotelu i zemdlała.

II.

Pan de Molneys na próżno oczekiwał od ośmiu dni odpowiedzi pana Izambert. Nie mogąc dłużej znieść takiej niepewności postanowił zgłosić się po nią osobiście.

Zaledwie ujechał połowę drogi rozdzielającej Molneys od Moras, kiedy przysunął się do konia młody człowiek około lat trzydziestu z miną pokornie uniżoną i z uśmiechem na ustach.

— Ach! jesteś tu Amadeuszu — zapytał zimno pan de Molneys — od jakiego czasu bawisz w okolicy.

— Od wczoraj dopiero! Przeszły miesiąc przepędziłem u jednego z moich przyjaciół, którego majętność nie daleko ztąd leży. Ciebie zaś, mój wuju, szukałem umyślnie, żeby ci powinszować.

— Pod jakim względem?

— Powinszować ci małżeństwa jakie zawierasz. Bardzo korzystne małżeństwo, jak mówią. Tylko bardzobym chciał wiedzieć — dodał z tonem złośliwego szyderstwa — czy panna Izambert nie zachowała najmniejszego wspomnienia dla swego dawnego wielbiciela, Ernesta Deblanche?

— Nie słyszałem żeby panna Izambert miała dotychczas najlżejszą skłonność do kogokolwiek —odparł sucho Jerzy.—Gdybym potrzebował dowodów materjalnych na wzmocnienie moralnego mego przekonania, to jej wiek, jej usposobienie i charakter byłyby dostateczną rękojmią czystości serca. Zresztą małżeństwo moje z panną Izambert niestety nie jest jeszcze pewną rzeczą, tobie jednak nie wypada odzywać się w podobny sposób.

— O mój kochany wuju, nie mam wcale zamiaru obrażenia ciebie. Nic nie wiem o pannie Izambert, oprócz tego co mi o niej mówił Deblanche. On sam wreszcie nie zna jej dosyć ażeby...

— Cicho bądź, mój panie — zawołał pan de Molneys rozgniewany do najwyższego stopnia — jesteś głupcem i impertynentem.

I nie czekając na odpowiedź swego siostrzeńca uderzył konia i pogalopował drogą do Moras. Przybywszy na miejsce, serce mu biło gwałtownie. Milczenie pana Izambert było złym znakiem dla jego nadziei, zdawało mu się, iż ukrywa ono niewątpliwą odmowę. Gdyby nie uczucie zwiększające się z każdym dniem dla Karolci, nigdyby się nie był odważył na krok, który uważał za upakarzający dla siebie.

— Czy można się widzieć z panem Izambert? — zapytał wchodząc. Otrzymawszy przeczącą odpowiedź, miał się już oddalić, kiedy nagłe postanowienie zatrzymało go. — Poczekam w salonie — powiedział — aż dopóki pan Izambert nie będzie mógł mnie przyjąć.

III.

Karolcia przepędziła te ośm dni modląc się i płacząc. Trucizna zawarta w niegodziwym bilecie szybkie robiła postępy. W pierwszej chwili, kiedy pokojówka znalazła ją zemdlałą na fotelu, biedna dziewczyna gwałtowną powodowana rozpaczą chciała biedz i pokazać ojcu list oskarżający, żądając rachunku ze swego szczęścia zmarnowanego. Ale zastanowienie innemi natchnęło ją myślami. Ciągle obecna pamięć matki i uczucia religijne nie dozwoliły jej zatruć serca ojca taką goryczą, jaka ją przejmowała.

Zrobiła więc szlachetne postanowienie, że zachowa dla siebie samej tę bolesną tajemnicę. Postanowienie to jednak pociągało za sobą straszniejsze jeszcze cierpienie. Karolina nie powinna była i nie chciała łączyć życia pana de Molneys z niesławą, która z dnia na dzień mogła się stać powszechnie wiadomą. Korzystając z niedbalstwa pana Izambert, nie tylko że mu nie wspominała o życzeniach Jerzego, ale czuwała troskliwie żeby nie mógł się z nim widzieć, albo pisać do niego, bez jej wiadomości.

Jedna jeszcze drobna na pozór okoliczność dodawała nowego niepokoju biednej dziewczynie. Powróciwszy do przytomności po przeczytaniu listu, który taki okropny cień rzucił na jej życie, Karolcia napróżno szukała go w koło siebie. Ładny różowy papierek zniknął.

IV.

Pan de Molneys usiadł dosyć smutny na jednym z foteli stojących w rogu starożytnego komina. Z miejsca tego łatwo było przejrzawszy wszystkie zakątki obszernego salonu, w najdrobniejszych szczegółach poznać rękę rozumnej o artystycznych upodobaniach kobiety. Pokrycie na meblach ciemno zielone, orzeźwione szerokiemi bukietami róż, nie miało w sobie nic odznaczającego. Ale dębowe rzeźbione ramy zastępujące w koło zwierciadeł zwykle używane złocenia, stoły okryte księgami w pięknych oprawach, kosze pełne kwiatów i roślin, a nakoniec te tysiączne drobnostki rozrzucone w artystycznym nieładzie, tworzyły zachwycającą całość i zdradzały

upodobania i przyzwyczajenia osoby, która się tem zajmowała.

Les feuilles d'automne i *l'Histoire de Sybille* pozostawione na wpół otwarte na maleńkim stoliczku, wskazywały, że zwykła mieszkanka tego salonu lubi czytywać; małe i wytworne narzędzia do pielęgnowania roślin udowadniały, że lubi i zajmuje się kwiatami. Pan de Molneys znał dobrze upodobania Karolci, nie potrzebował więc wyczytywać ich z przedmiotów znajdujących się w pobliżu, ale spokojność panująca w wspaniałym salonie i wytworne ułożenie każdego przedmiotu wprowadziło go w zachwyt. Zdawało mu się, że natrafił na szczęście pewne i że dwa razy w życiu nie można spotkać tylu przymiotów złączonych razem jak u panny Izambert. Tak był zajęty przymiotami jej umysłu i charakteru, że prawie zupełnie zapomniał o piękności fizycznej, kiedy Karolcia weszła.

Na wybladłej twarzy młodej dziewczyny widoczne były ślady przebytego zmartwienia. Usiadła spokojnie i stanowczo naprzeciw pana de Molneys, lecz nie będąc w stanie rozpocząć rozmowy, której cel przywidywała, milczała w nadziei, że on sam pierwszy przemówi.

Jerzy głosem drżącym ze wzruszenia zaczął jej opowiadać o swoich nadziejach utraconych i o cierpieniach przepełniających jego serce. Mówił z wymową, jaką tylko miłość prawdziwa posługiwać się umie. Zatrzymał się wreszcie szukając w oczach Karoliny zachęcającej odpowiedzi.

— Panie — rzekła młoda dziewczyna głosem szorstkim i urywanym jakiego u niej nigdy nie słyszał — nie chcę iść za mąż i mój ojciec pochwala to postanowienie.

— Ach! — zawołał Jerzy uniesiony gwałtownem cierpieniem — słusznie mi powiedziano, nie tylko że mnie pani nie kochasz, lecz że kochasz kogo innego.

I nie słysząc rozdzierającego serce łkania, jakie odpowiedziało jedynie na te okrutne słowa, młody człowiek opuścił pospiesznie Moras.

(Dok nast.)

NARZĄDY SZCZĄTKOWE W NASZYM ORGANIZMIE.

(Dokończenie. Patrz Nr. 14.)

Zwierzęce pochodzenie człowieka, które tyle ludzi, o ciasnych umysłach, odrzuca z pogardą, jest jednakże rzeczą dowiedzioną na podstawie ścisłego zbadania i zestawienia faktów rozmaitego rodzaju.

Z pomiędzy tych faktów, pozwolimy sobie dzisiaj przytoczyć kilka, odnoszących się do szczątkowych narządów człowieka, to jest do tych części ciała ludzkiego, które są w szeregu przemian doprowadzone do stanu bezużytecznego i nie wykonywają żadnych czynności. Te narządy, mało znane przez ludzi nie zajmujących się nauką, mają, jak to zaraz zobaczymy, doniosłe znaczenie naukowe. Stanowią one jeden z najbardziej uderzających i przekonywających dowodów prawdziwości doktryny genealogicznej, a w szczególności pochodzenia człowieka od niższych form zwierzęcych.

Nasza kolumna pacierzowa, naprzykład, zakończoną jest u dołu kostką, złożoną z czterech małych nierozwiniętych kręgów, zwężającą się od podstawy ku końcowi. Jestto tak zwana kość ogonowa. Posiada ona tylko kilka drobnych mięśni, z których jeden odpowiada mięśniowi podnoszącemu ogon, tak rozwiniętemu u innych zwierząt ssących. Otóż chociaż czynnie ta kość jest niczem jako ogon, to jednak reprezentuje wyraźnie tę część ciała u innych zwierząt. Jest ona zanikłą resztką długiego ogonu, obfitego w mięśnie i w kręgi, którą posiadali nasi przodkowie, i dowodzi, że pochodzimy od przodków zaopatrzonych w długi ogon.

Oprócz tego w niektórych wypadkach nadzwyczajnych zauważono ludzi, posiadających ogony, które się przedstawiają w kształcie małego wydłużenia. Jest to jeden z przykładów częściowego powrotu do dawnego stanu, powrotu w innych częściach ciała niekiedy się pojawiającego.

W wewnętrznym kącie oka, między powiekami posiadamy mały wyrostek, półksiężycowego kształtu, zupełnie nieużyteczny dla funkcji oka. Ten wyrostek jest niczem innem, jak tylko prawie zupełnie już ginącą pozostałością trzeciej, wewnętrznej powieki pionowej, która się spotyka często w stanie zupełnego rozwoju u wielu żyjących kręgowców a w szczególności u ptaków, gdzie służy do szybkiego zakrywania gałki ocznej: w ruchu swoim, ta trzecia powieka porusza się poziomo, jak to łatwo zauważyć można u pierwszego lepszego ptaka, w kształcie zasuwających się firanek. Już pierwsze formy ryb z epoki sylurskiej, które uważają się genealogicznie za należące z nami do jednego szeregu, posiadały, o ile się zdaje, tę trzecią powiekę. I rzeczywiście wiele z pokrewnych im gatunków, obecnie istniejących, jak naprzykład rekiny, posiadają wspomnianą błonę, dobrze rozwiniętą. Jest rzeczą godną uwagi, że u zwierząt ssących najniższych, a więc najbardziej zbliżonych anatomicznie i chronologicznie do owych sylurskich przodków, ta trzecia powieka jest w stanie zaniknięcia mniejszym niż u innych zwierząt, tego samego działu, należących do grupy bardziej wydoskonalonej i świeższej.

Niektóre mięśnia istniejące w stanie normalnym u wielu ssących, znajdują się u człowieka w stanie mocno zredukowanym; szczególny przykład tego rodzaju mamy na mięśniach podskórnych, tak rozwiniętych u konia, dzięki którym może poruszać i marszczyć skórę w różnych częściach swego ciała, głównie w celu odpędzenia much. Ślady tego układu muskułów znajdujemy w naszem cieli na czole, gdzie one służą do podnoszenia brwi i nadają tym sposobem wyraz twarzy człowieka. Inny muskuł podskórny znajduje się na szyi, lecz jest niezależnym od naszej woli.

Znana wszystkim kiszka ślepa, jest szczątkową pozostałością kiszki bezporównania dłuższej, która wskutek zmiany pożywienia zanikła i zapewne dalej zanikać będzie. Jak wszystkie części, znajdujące się w stanie szczątkowym, na drodze zaguby, ten dodatek bezpożyteczny do kiszek, jest bardzo zmiennym co do swej długości i kształtu, stosownie do osobnika. Najczęściej posiada on dziesięć do trzynastu centymetrów długości na ośm milimetrów średnicy. Ta ślepa kiszka nie tylko że jest nieużyteczną, ale jest nawet szkodliwą i to do takiego stopnia, że w wielu przypadkach, dokładnie zbadanych, była przyczyną śmierci. „Dwa przykłady niedawne“ — powiada Darwin — doszły do mej wiadomości; wypadki te wynikły wskutek dostania się do ślepej kiszki, małych, twardych ciał, jak ziarna lub pestki, które obecnością swą sprowadziły zapalenie.

Zdaje się także iż zęby trzonowe tylne, tak zwane zęby mądrości, rozwinięte bardzo u małp zwykłych, przechodzą w stan szczątkowy u wyższych ras ludzkich. U ras cywilizowanych, tylna część szczęki, jest zawsze skróconą, co może być przypisanem faktowi, iż ludzie cywilizowani, żywiący się pokarmami już poprzednio zmiękczonemi przez sztukę kulinarną, mniej używają szczęki swojej.

Nasze ucho wewnętrzne, jest zanikłym szczątkiem spiczastych uszów, o ruchach znacznych i szybkich właściwych przodkom, którzy nam w spuściźnie zostawili muskuły uszne, których nie używamy wcale, gdyż nasi bliżsi przodkowie, stracili od niepamiętnego czasu zwyczaj podnoszenia i orjentowania w kierunku głosu konch usznych, więc przez długie nieużywanie i brak ćwiczenia, doszły one do stanu takiego, że niemi dzisiaj poruszać nie mogą. Tą samą drogą doszły do takiego stanu niektóre gatunki psów i królików domowych; ich towarzysze w stanie dzikim mogą wyrabiać ze swemi uszyma co się im podoba, a tymczasem one straciły pod wpływem życia oswojonego ostre zakończenie uszów, zwieszających się prawie bezwładnie na dół.

Mała wypukłość, którą często zauważyć można u obu płci na zewnętrznym brzegu, odchylonym naprzód konchy usznej, jest pamiątką spiczastych uszów naszych przodków.

Skóra ciała naszego pokrytą jest prawie cała delikatnemi włoskami, których pożytek, jest oczywiście żaden. Otóż one muszą być uważane jako ostatnie ślady włosów, któremi pokryte było ongi całe ciało.

Wypadkowo, pokazuje się u niektórych ludzi gęsty zarost w miejscach ciała, gdzie u innych go wcale nie ma. Lecz najbardziej interesującem stwierdzeniem tego faktu, jest to, że człowiek w szóstym miesiącu swego embrjonalnego istnienia, jest cały pokryty delikatnym włosem następnie znikającym.

Różne fakty wyżej przytoczone już same wystarczają do nadania nadzwyczajnego prawdopodobieństwa twierdzeniom Darwina, który powiada, że nie można już wątpić, iż przodek nasz pochodzi od zwierzęcia pokrytego włosami, zaopatrzonego w ogon i ostre uszy i żyjącego na drzewach.

Br. Abakanowicz.

KORESPONDENCJE

Paryż d. 27. kwietnia 1879.

Nie myślcie, Szanowny Redaktorze, żebym zapomniało obowiązku zaciągnionym przezemnie względem „Tygodnia Polskiego“; teraz kiedy się bliżej z nim zapoznałem, poczytuję sobie nawet za zaszczyt należenia do grona jego współpracowników. Choroba tylko, nieco dolegliwa i długa, wytrąciła mi pióro z ręki, to też powracając do zdrowia, chwytam je tem skwapliwiej, że mam kilka przedmiotów zaległych do zakomunikowania czytelnikom Waszym.

Przedewszystkiem, muszę się uiścić z świętego długu, składając na tem miejscu hołd głębokiego szacunku i czci dla ś. p. Antoniego Oleszczyńskiego, zmarłego w Paryżu dnia 28. lutego b. r. w 84 roku życia. Należał on do tych, chwała Bogu, nie rzadkich, ale niemniej szanownych typów polskich, których całe życie nacechowane jest niezmienną, a zawsze i wszę-

dzie czynami stwierdzoną, miłością ojczyzny. Cichy, skromny, dla siebie nic nie wymagający, Antoni Oleszczyński miał tylko dwa ideały przed sobą: Polskę i sztukę. Obydwom też poświęcił się z zapałem i z niezwruszoną wytrwałością. Natchnieniami tych ideałów doszedł w całej czerstwości zdrowia i umysłu do dalekiej mety życia, marząc o nich spokojnie w ostatniej nawet chwili przed śmiercią. Polska jedynie, jej świetna przeszłość, pomniki jej chwały, służyły mu do wydoskonalenia się w sztuce rytowniczej; ta znowu była dla niego sposobem do przekazania żyjącym i potomności, wielu pięknych szczegółów naszej przeszłości, a tem samem i do rozbudzenia pociągu ku rzeczom ojczystym. Piękny to przykład dla naszych artystów.

A. O. zostawił nam jeszcze inny, równie cenny przykład dobroci serca, która go nigdy cechować nie przestała. Od młodości, aż do końca długiego życia, dobrocią serca, uprzejmością dla wszystkich, zdobywał sobie przyjaciół, a nigdy ich nie tracił; bo nie znał ani obojętności dla nich, ani zniechęcenia, ani zazdrości, a tem mniej nienawiści. Zdaje się, że nawet dla ciemięzców ojczyzny nie czuł w duszy swojej nienawiści, tak dobroć serca była jego górującą cechą.

W pierwszych latach młodości, wtenczas kiedy się zwykle objawia w człowieku jaki szczególny dar natury czyli talent w pewnym kierunku, A. O. nie myślał o rytownictwie; dopiero po 20 kilku latach odezwało się w nim poczucie artysty i poszedł za nim, mimo rad przeciwnych, a kiedy po ukończeniu akademji w Petersburgu, złożył przyjaciołom i znajomym dowody swoich nadzwyczajnych postępów i tryumfów, wtenczas dopiero uwierzono w jego wrodzone zdolności do rytownictwa, tudzież w siłę jego woli i pracy. Nie był on geniuszem w sztuce rytowniczej, ale niezawodnie mało kto wyrównał mu w talencie wykonania i w tworzeniu własnych dzieł z cudzych materjałów porozrzucanych po rozmaitych pomnikach i grobowcach narodowych. Pozostawił też po sobie, jako jedyną spuściznę dla nieutulonej w żalu rodziny, luźny zbiór swoich prac, przeszło sto blach stanowiących nieoszacowany materjał dla pism i dzieł ozdobnych polskich, a oprócz tego znaczną liczbę starych rycin i obrazów, jako też ciekawych i rzadkich przedmiotów do archeologji narodowej należących, a które dla amatorów i znawców mają niezaprzeczoną wartość.*)

Oprócz głównego zawodu w sztuce rytowniczej ś. p. A. O. poświęcał się jeszcze z zamiłowaniem literaturze ojczystej. Ogłosił kilka broszur odznaczających się prostotą stylu i szlachetnością myśli, miewał często ciekawe odczyty w Towarzystwie historyczno-literackiem w Paryżu, pozostawił rozmaite rękopisma, a pomiędzy niemi nieskończoną powieść, czy legendę historyczną, do której wielką przywiązywał wagę. Cześć jego pamięci!

Dziwnym zbiegiem wypadków, kiedy ś. p. A. O. zstępował do grobu, jego przyjaciel od młodości i nieodstępny towarzysz na obcej ziemi, Wojciech Sowiński, jak on artysta Polak, dziś nestor muzyków polskich, urządzał swój roczny koncert w sali Hertza. Niespodziewana śmierć przyjaciela odebrała mu odwagę, ale daremno, zobowiązania względem publiczności już były zaciągnione, dzień i program koncertu ogłoszony, bilety rozdane, nie było rady, musiał grać. Grał też ze łzami w duszy, a jednak ci co go słyszeli, powiadają, że grał jak młodzieniec, zachwycił wszystkich nietylko delikatnością i biegłością gry, ale i pięknością sztuki własnego utworu *), którą na cztery ręce z panem Antonim Kątskim wykonał.

*) Tak przez wzgląd na życzenie zmarłego, jako też i z potrzeby, rodzina Oleszczyńskiego gorąco pragnie ażeby te zbiory dostały się w ręce, które z nich należny użytek zrobić są zdolne.

Mówiąc o koncercie Sowińskiego, nie wolno mi pominąć świetnego wystąpienia po raz drugi na scenę publiczną w Paryżu, młodziutkich panien Wandy i Jadwigi Bulewskich. Panna Wanda gra na fortepianie a panna Jadwiga na skrzypcach. Pierwsza ma niezwyczajny talent, drugą profesor jej, sławny i sympatyczny skrzypek belgijski, pan Vieuxtemps, nazwał najpiękniejszą perłą swojej artystycznej korony, i przepowiedział jej świetną przyszłość. Obiedwie stanowią tak piękną harmonję, tak się wzajemnie dopełniają wdziękami i grą, że wątpię, ażeby jedna bez drugiej ośmieliła się wystąpić publicznie. Dodać należy, bo to rzadkie między artystami, panny Bulewkie odebrały staranne wychowanie, mówią bardzo dobrze nie tylko po polsku, co nie jest nadzwyczajnem, gdyż ojciec i matka są Polakami, ale i po angielsku, po włosku i wcale nie źle po niemiecku. Nie ma też nic dziwnego, że prawdziwy talent muzykalny, poparty wdziękami młodości, dobrem wychowaniem i wykształceniem, otworzył z łatwością pannom Bulewskim, drzwi do tak nazwanego wielkiego świata. Powtórzoną ich koncert na salonach księcia Czartoryskiego był już świetnym wstępem do znakomitego powodzenia jakiego doznały u arystokracji angielskiej, a nawet u familji królowej Wiktorji. Tegoroczne ich wystąpienie przed publicznością paryzką, usprawiedliwiło w zupełności przepowiednię mistrza, o której wyżej wspomniałem, koncert powiódł się znakomicie, a panny Bulewskie wyjeżdżając do Brukselli i Londynu, poprzedzone zostały jednomyślnemi pochwałami muzykalnych organów paryskich.

W przeszłym liście miałem sposobność zaznajomić łaskawych czytelników „Tygodnia Polskiego", z nowym badaczem dziejów ojczystych, który się objawił po raz pierwszy publiczności polskiej w Paryżu. Dziś przychodzę zdać sprawę z drugiej połowy odczytu pana M. Żmigrodzkiego w Towarzystwie historyczno-literackiem, według własnych notatek autora. I tak: Porównywając tradycje ludowe na Ukrainie, koło Krakowa i w południowych Niemczech i wykazując uderzającą ich tożsamość, prelegent starał się tą drogą odtworzyć cały świat wierzeń i tradycji, które żyły w naszym narodzie równie i w pierwszej epoce cywilizacji polskiej.

W tem zestawieniu wykazuje jak głęboko w piersiach naszego ludu tkwiła wiara w nieśmiertelność duszy, wiara w siłę twórczą i siłę zniszczenia, które są z sobą w ciągłej walce; jak zasady moralności były czyste i szlachetne, a których najbardziej świetnym punktem jest postać matki otoczona aureolą kapłanki Boga światłości, Boga stwórcy i męczennicy w jego sprawie. Według podań ludowych matka umarła w połogu oczywiście wskutek wpływów niszczących Boga ciemności, idzie wprost do Nieba. Przed matką i dzieckiem, umarłemi razem, podwoje Niebios otwierają się na oścież i witają ich chóry aniołów.

W rozdziale mającym za treść archeologję domową, pan Z., robiąc również zestawienie zabytków archeologicznych z rozmaitych epok i krajów, zebrał sto kilkadziesiąt rysunków na 27 tablicach.

*) Uwertura do opery Jan Sobieski pod Wiedniem.

Mówiąc o rozwoju sztuki w naszym kraju podnosił wysokie naówczas stanowisko klasztorów męzkich i żeńskich, a podając przytem obraz życia klasztornego w całej Europie owego wieku, twierdził, iż również to samo życie poczęło się i u nas wraz z założeniem pierwszych klasztorów; tem pewniej: iż ci mnisi, którzy szli apostołować do naszego pogańskiego kraju, musieli to być ludzie wielkiego poświęcenia i wielkiej pracy. Z klasztorów szły pojęcia o sztuce do ludu, a że klasztor w nauczaniu nie robił żadnej różnicy pomiędzy klasami społeczeństwa, to też w epoce stylu romańskiego i gotyckiego, pojęcia sztuki są jedne i też same w całym narodzie, czego już wcale nie widzimy w epoce stylu odrodzenia. Również jak sztuka tak i nauka szła wówczas z klasztoru. W klasztorach były szkoły, klasztor wysyłał nauczycieli do ludu, by ci, chodząc wśród niego, żywem słowem wykładali im wiadomości naukowe jak i rzeczy praktyczne, jakoto: o domowych rzemiosłach, o ogrodnictwie, o pszczelnictwie, o chowie bydła i t. p.

Mówiąc dalej o rozwoju stosunków miejskich pan Z. wykazywał trudności, jakie stoją przed badaczem historji cywilizacji tej epoki. Z zabytków, które jeszcze tu owdzie ocalały, nie można nawet złożyć uzbrojenia jednego człowieka; zaledwo na kilku rysunkach i to bardzo miniaturowych, widzimy pojedyńcze postacie rycerzy, lecz jakie było urządzenie ówczesnego wojska, co ci ludzie mówili, myśleli, o tem pozostały tylko ciemne podania, rozwiązanie których jest często niemożebnem, jak na przykład co do maszyn wojennych wówczas używanych. Nadto przytaczał jeszcze i ten wzgląd, że w tych właśnie krajach, zkąd szły do nas bezpośrednie wpływy w tym kierunku, to jest w Bawarji i w Danji nawet, miejscowi uczeni ze smutkiem przyznają się, iż o tej epoce albo wcale nic albo bardzo mało wiedzą.

Co do stosunków pieniężnych pan Z. zwrócił uwagę na ogromne znaczenie kierunku rzek spławnych, a porównaniem zabytków numizmatycznych dowodził, że wedle tych geograficznych warunków, formowały się typy monetarne środkowej Europy. Co zaś do bogactwa, o jakiem słyszymy w owym wieku, p. Z. twierdził, iż ono wypływało raz z rozwiniętego bardzo handlu, po drugie, z pierwotnego urządzenia państwowego, kiedy wszystkie dochody państwowe spływały do rąk patrjarchy króla i że wielkim błędem byłoby kłaść owe bogactwa na karb łupów wojennych.

W ostatnim rozdziale swej pracy „Polska owego wieku w obec Boga i ludzkości" pan M. Z. rzucił najpierw krótki rys historji cywilizacji całej ludzkości, dowodząc, iż główną zasadą cywilizacji jest podniosłość, na której stoi rodzina. Wykazał, iż ilekroć padała rodzina, tylekroć padały sztuki, nauki i idee narodowości. Zwracając się zaś wprost ku omawianej epoce, dowodził, iż czyste i wzniosłe zasady moralności prastarego świata pogańskiego, cierpiały bardzo na swej szlachetności właśnie przy końcu X wieku, a to mianowicie przez to, iż wkradło się wielożeństwo, co w skutku spowodowało oczywiście upadek kobiety, to jest całej połowy społeczeństwa. Przyjmując chrystjanizm i wracając znowu do

*

zasady jednożnego i niepokalanego małżeństwa, Polska podniosła stanowisko kobiety czyli stanowisko połowy swego społeczeństwa, a tym sposobem, podniosła miejscowo i w czasie, tę główną zasadę, na której polega rozwój cywilizacji całej ludzkości.

Na tej wielkiej prawdzie, zaprzeczanej przez jednych, lekceważonej przez drugich a dziwacznie bronionej przez innych, zakończył Pan Żmigrodzki swoje odczyty o ważnem, a w naszej literaturze nie znanem dziele, nad którego wykończeniem teraz pracuje.

Dnia 3. b. m. mieliśmy tutaj bardzo zajmujące posiedzenie w towarzystwie byłych uczniów szkoły polskiej Batignolles. Była to rocznica śmierci Juliusza Słowackiego, a więc i sposobność dla naszej młodzieży, na emigrancji zrodzonej, do złożenia nowego dowodu, że wszystko co patrjotyzm Polski podnosi, ma silny odgłos wjej sercu. Pan Chodźkiewicz światły i wymowny członek Towarzystwa historyczno-literackiego, zagaił posiedzenie piękną przemową do młodzieży, zachęcając ją do wytrwałości na obranej drodze. Następnie pan Wacław Gasztowtt w obszernym i gruntownie opracowanym odczycie wykazał genialne strony naszego wieszcza i zaznaczył jego wysokie stanowisko w rzędzie nowoczesnych poetów. *) W końcu Pan Gasztwott zrobił wielką niespodziankę zgromadzonym zawiadamiając ich, że jest w posiadaniu własnoręcznego pamiętnika Juliusza Słowackiego, opisującego pierwsze lata jego młodości. Na nieszczęście, pamiętnik jest niekompletny, brakuje mu kilku środkowych rozdziałów; ale taki jaki jest może być ważnym materjałem do historji znakomitego poety.

Towarzystwo byłych uczniów szkoły Polskiej na Batignolles miewa częste posiedzenia i coraz z większym interesem zajmuje się rzeczami ojczystemi, dzięki pracowitym kolegom, którzy na jego czele stoją. W tych czasach pan Zwierkowski miał bardzo zajmujący odczyt o swoich podróżach po Syberji; pan zaś Stępiński, autor bardzo ważnych artykułów, o udziale Polaków w Wystawie powszechnej, umieszczonych zeszłego roku w Messager do Vienne, czytał gruntowną rozprawę o przemyśle w Polsce. Jest nadzieja że oba te odczyty będą zamieszczone w Biuletynie towarzystwa wychodzącym dwa razy na rok, a który radziłbym bardzo czytelnikom Tygodnia, czytać regularnie: dowiedziliby się tam wiele rzeczy ciekawych i uczących.

*) Odczyt miał miejsce po francusku, ale z licznych i obszernych cytacji polskich, często oklaskami okrytych, można przypuścić, że zgromadzonej młodzieży język polski nie jest obcym, a zatem, że w przyszłości, wszystkie rozprawy i raporta, czytane na posiedzeniach publicznych, odbywać się będą w języku polskim. Już teraz korrespondencje pomiędzy zarządem a członkami towarzystwa odbywają się po polsku.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Spotkałem w tych dniach przyjaciela mego, zapalonego adoratora Lwowa, jak przechyliwszy się na poręczy mostku na Pełtwi, przypatrywał się z zachwytem szumiącym w dole pomyjom.

— Ot, widzisz — odzywa się rozpromieniony — dumny jestem z naszej Pełtwi. Dzielnie złożyła egzamen na wielką rzekę... Wiesz utopiła się w niej kobieta dorosła i to utopiła się dobrowolnie... Mówię ci tak mię to rozradowało, że chociaż żal mi tej Rogenbogenowej jako kobiety, to jednak uściskałbym ją za to, że nie poszła topić się do stawów jak ta panienka M. K., ale podniosła reputację naszego miasta... Jak Lwów Lwowem, pierwszy raz taki honor spotkał Pełtew, której już nikt zarzucić nie może, żeby miała być strugą... Powtarzam ci jako Lwowianin jestem dumny...

— A utworzenie medycznego fakultetu nie cieszy Pana? Sądzę, to jeszcze większy honor dla miasta...

— Dajże mi pokój z waszym fakultetem — rzeknie oburzony. — A co nam po medycynie? Chyba na to, żeby przysporzyli więcej kalek w mieście. Proszę cię zajrzyjno do Krakowa, a daję ci słowo co trzeci krok spotkasz ludzi albo bez ręki, albo bez nogi, czasem i bez dwóch, a już o braku nosów nie mówię, bo wszystkim wiadomo, że Krakowiacy nie odznaczają się tęgim węchem. A to wszystko panie dobrodzieju, jest zasługą fakultetu medycznego i tej kliniki... Ho, ho znam ja tych panów operatorów i ich zawziętość do krajania ciała ludzkiego... No, spróbój i zakłuj sobie palec na żarty i pójdź na poradę do kliniki — powiedzą: uciąć, uciąć, gangrena itp. aby tylko mieli operacyjkę. Znałem lekarza profesora, który formalnie polował na takich biedaków po ulicach, ofiarował się leczyć bezpłatnie, placił nawet, aby dali sobie operować różne narośla... Otóż widzisz, jak tu we Lwowie zaprowadzą klinikę, zaraz pokiereszują naród i zdefigurują miasto... W całem ciele, zdrowa i cała dusza, dlategoż my tu we Lwowie trzymamy się tak ostro, no i czasami gorąco panie dobrodzieju; a jak nas potem zaczą operować i młodzież wyuczą takich experymentów, zrobią z nas konserwatystów... ultramontanów, stańczyków, no, jednem słowem kaleki moralne, społeczne i polityczne... Zobaczysz, że święte moje słowa... A teraz słyszę, jakiś doktór Nietze w Dreźnie wynalazł jakąś elektryczność, co może wskroś oświecić człowieka i doktór ci precz zobaczy co się w tobie dzieje... Niechno się nasi lekarze o tem dowiedzą i wezmą się do operacji wewnątrz!... Co chcesz oni gotowi wyjąć ci kawałek serca, podzelować żołądek, kiszki jak komin albo jak cybuch wyszorować drutem ze szczoteczką i nie będzie żadnych katarów wewnętrznych i jak człowiekowi przyjdzie umierać, to przynajmniej bez żadnej choroby...

—Łaskawy panie — odzywam się na to — żart żartem, ale bo też rzeczywiście ten katar dokucza...

— Ba, jakże nie ma dokuczać — rzecze zaperzony mój stary przyjaciel — kiedy my biedacy żywiący się po tutejszych restauracjach jesteśmy formalnie truci... Śmietankę masz fałszywą, kożuch fałszywy, kawa farbowana grynszpanem, mięso z fałszywych wołów, masło fałszowane frytury lub smalcem amerykańskim, chleb fałszowany, drożdże, wino, wódka itp... W piwie nie masz chmielu, a chininę z gencjanną; w herbacie jakieś pachnące zioła... słowem wszystko tak fałszywe, że dalibóg ja sam nieraz macam się za nos, czy ja jestem ten sam jeszcze Pafnucy czy nie... Ot widzisz, żebym tak miał żonę, to zarazbym założył zdrową restaurację i wszystkichbym zakassował i ludziom przyspożył zdrowia.

— To niech się pan żeni...

—Ba, czekaj babka latka... w moim wieku już niebezpiecznie, a nużby mi żonę sfałszowali? Co tu komu teraz wierzyć... No słyszałeś ten proces Towarzystwa kredytowego miejskiego, he? byłeś na rozprawie...

— Nie, biletu nie mam...

— Mówię ci, postaraj się i idź... historje panie dobrodzieju, prawdziwa operacja kieszeni ludzkiej... i to bez ilustracji. Słuchając aktu oskarżenia, struchlałem... święty Boże, czy to już koniec świata będzie czy co?...

— Eh, dajmy pokój tym brudom społecznym — mówię do pana Pafnucego, także podobno członka onego Towarzystwa z nieograniczoną poręką — ot lepiej powiedz pan co słychać nowego?

— Nic, panie dobrodzieju, nic... Ot, zaczynają się festyny akademików, koncerta i teatry akademików i słyszę dobrze idą. Jakiś profesor odgadł szaradę... nawet wydrukowali jak się nazywa... honor, zasługa... dostał rysunek za to... winszuję, zawsze to inteligencja nie lada...

— Przyznam się panu, że te wszystkie festyny już nieco się przejadły...

Co znowu?... ja jestem, byłem i będę za festynami, za wycieczkami, za wyprawami. Nawet psie wyścigi lubię i podług mnie to jedno cośmy od Niemców przyswoili na coś się przyda... Jak skapsoniejemy na nic, to sobie pójdziemy z pudelkami w świat jak ongi Niemcy do nas przychodzili i będziemy żyć... Albo proszę cię te gromadne wycieczki, czy to nie jest rzecz miła też? Tu śniadanie, tu obiadek, tu kolacyjka i tańce... potem nocleg, piękne widoki, góry panie dobrodzieju, doliny, rzeki, śniadanie i tańce, potem *okurzamy się* jak program Wydziału Czarnohorskiego podaje i obiadek i zabawa i znowu jedziemy i znowu kolacja...

— Ależ to kosztuje — ośmieliłem się przerwać panu Pafnucemu.

Głupstwo, że kosztuje, albo nas nie stać na to... Przyznam ci się, wolę wydać na taką przyjemność, niż kłaść moje fundusze w organiczną pracę z nieograniczoną poręką, jak ja włożyłem w Towarzystwo kredytowe miejskie... I politechnicy jadą do Krakowa; dobrze niech jadą, zawsze się tam czegoś nowego nauczą i może jaką robotę wynajdą... Słyszałem, czytałem, mają porządkować miasto nasze. Jedni będą regulować Lwów i Pełtew z kanałami, drudzy sprowadzą wodę, inni mają budować łaźnie, bursę i magazyny zbożowe, urządzać place na targi; inni wreszcie zrestaurują kościoły, ozdobią ogrody i pałace, zbudują sale balowe i muzyczne...

— Ależ to projekt tylko?

— Ba, projekt, cóżeś chciał aby to odrazu z ziemi wyrosło... Nie bój się, jak rada miejska to wszystko zobaczy na papierze, to jej się może spodoba i kupić nie kupić ale potargować wolno... A wtedy nasz Lwów stanie na pierwszem miejscu w Europie. Głupstwo o pieniądze! te się znajdą, bo naprawdę nie jest u nas tak źle, jak się zdaje... Ludzie narzekają z przyzwyczajenia, że bieda, a popatrzno jakie to aksamity, jedwabie, koronki, karety, zbytki... Nie od dziś żyję, a zawsze słyszałem narzekania na biedę, więc też i Magistrat nasz jak ruszy kabzą to zobaczysz, że coś z tego będzie. Jeszcze ja panie dobrodzieju będę pływał łodzią po Pełtwi tu na wałach hetmańskich, a kanały wszystkie skryjemy pod rzeką i taka zapanuje wonność na ulicach jakby w oranżerji jakiej...

Pożegnałem zachwyconego przyszłym Lwowem pana Pafnucego i pomyślałem sobie: „a może."

Wszedłszy na rynek zobaczyłem rujnację kompletną. Układają tam chodniki i rozszerzają takowe, drzewa posadzone w jesieni już się zielenią — po ulicach jakoś czyściej, tylko te piwnice w domach, te nieszczęśliwe nory karkołomne, w których ludzie żyją i handlują, nie mogą się doczekać aby je kiedyś zamurowano. Jeżeli nie ze względów budowniczych, to z czysto sanitarnych wypadałoby wziąć się do ich skasowania. Na co się zdadzą pałace, ogrody, hale, jeżeli tysiące ludzi we Lwowie mieszka dotąd w piwnicach wilgotnych bez światła i powietrza. Większa część stróżów kamienicznych przez nieludzkość właścicieli musi gnieździć się w takich jamach i nikt za nimi się nie ujmie, choć komisja sanitarna istnieje i ciągle zabiera się do rewizji domów.

Czas nareszcie mamy już piękny i wiosnę w całym rozwoju z częstemi deszczami. Po tylu miesiącach zimy i zimna, jakoś weselej człowiekowi się robi, gdy spojrzy na tę pyszną zieloność, ten ruch, to życie natury, spiewy ptactwa i świeży powiew łagodnego wiatru. Ożywia to, i pokrzepia nadzieją, rozbudzając do nowej pracy z podwójną energją... Do jednego z takich objawów pocieszających, należy zamiar rady szkolnej wydania książki dla uczniów szkół niedzielnych, książki, która zawierać będzie w sposób potoczny i dla ludu wiejskiego zrozumiale przedstawiony, szereg wiadomości niezbędnych dla przyszłych obywateli kraju. Książka ta przeznaczona do czytania i wykładu w szkołach niedzielnych obejmie pięć działów traktujących o moralności, wiadomościach z jeografji i historji, gospodarstwie rolnem, o gospodarności, wreszcie o prawach i obowiązkach obywatela. Rzeczywiście takie dzieło mogące utrwalić i uzupełnić wiedzę w szkole ludowej codziennej nabytą, i przysposobić młodzież do przyszłego ich przeznaczenia jako obywateli kraju w życiu praktycznem, jest oddawna pożądane. Nie wątpimy zatem, że Rada szkolna wywiąże się z tego zadania szczęśliwie, a rzucając w ten sposób zdrowe i pożywne nasienie w umysły prostaczków, rozbudzi życie narodowe tam, gdzie dotąd nieświadomość, zabobon i apatja na sprawy społeczne od wieków panowały.

ZE ŚWIATA MUZYCZNEGO.

Kątski, Lipiński, Wieniawski, którzy sławą swą artystyczną napełnili całą Europę i tyle przyczynili się do uświetnienia imienia polskiego w dziedzinie sztuki, znaleźli godnego następcę w p. St. Barcewiczu, który w ubiegłych dwóch tygodniach dał się słyszeć trzykrotnie na estradzie koncertowej, mianowicie raz jeden w sali Towarzystwa muzycznego, a dwa razy w teatrze. P. Barcewicz jest jeszcze bardzo młodym człowiekiem, pierwsze jego publiczne występy sięgają w przeszłość bardzo niedaleką, a już potrafił uzyskać rozgłośną sławę nie tylko w kraju, ale i za granicą, gdzie jak wiadomo Polakowi daleko trudniej dobić się słusznego uznania, niżeli artyście jakiejkolwiek innej narodowości. Gra p. Barcewicza ze wszech miar zasługuje na miano potężnej, a odznacza się przedewszystkiem ogromnym, okrągłym, pełnym tonem i idealną prawie czystością. Skrzypce pod jego smyczkiem spiewają szeroką skalę wszystkich ludzkich głosów, jęczą, piszczą, śmieją się jak istota żywa i obdarzona najdelikatniejszem uczuciem, a przytem wyrażają się tak czysto i dokładnie, że wszelkie tłumaczenie nawet dla mało muzykalnego słuchacza jest zbyteczne. Ową czystość tonów najlepiej uwydatnia artysta w *arpedżiach*, którym najsurowszy znawca nie potrafiłby nic zarzucić. Bardziej jeszcze, niż ogrom tonu, który jest darem wrodzonym, zadziwia nas w młodym wirtuozie wysoce wyrobiony mechanizm, nie dający się niczem innem osiągnąć tylko długoletnią żmudną pracą. Dla p. B. trudności prawie nie istnieją i najtrudniejsze kompozycje egzekwuje on z taką swobodą i łatwością, jakby najprostsze ćwiczenia. Prześliczny tryl, wyborny pasaż, równe jak sznur pereł *staccato*, czyściutka gama chromatyczna w każdej tonacji, oto zalety techniki młodego wirtuoza, które zachwycają i każą się podziwiać. Musielibyśmy bardzo rozszerzyć nasze sprawozdanie, gdybyśmy chcieli przechodzić po kolei wszystkie utwory, wykonane przez niego na tych koncertach, ograniczymy się tylko na skonstatowaniu, że p. Barcewicz umie dokładnie wniknąć w ducha i charakter każdej kompozycji, i nadać grze swojej zawsze odpowiedni koloryt. Ależ to skończony artysta — zawoła czytelnik. Tak jest — z tą tylko poprawką, że skończonego nie ma nic na świecie. P. B. pod względem siły tonu, uczucia i energji jest rzeczywiście artystą skończonym, jedynie postępy może robić jeszcze w technice, która nigdy bezwzględnie doskonałą być nie może. To jednak pewna, że europejska przyszłość stoi przed młodym wirtuozem otworem.

W pierwszym koncercie grał z p. Barcewiczem, warszawski fortepianista p. Michałowski, artysta wykształcony, rozumny i wybornie władający instrumentem. Główną zaletą jego gry jest ton silny, a miękki, a przytem znaczna siła w lewej ręce. Publiczność nasza, która jak wiadomo wskutek powodzi produkcyj fortepianowych, jest bardzo kapryśną dla obcych pianistów, przyjęła p. Michałowskiego bardzo sympatycznie i nie szczędziła mu uznania. P. Michałowski odjechał zaraz po koncercie, a że w następnych koncertach, nie kto inny akompanjował p. Barcewiczowi tylko p. Marek, to zdaje się mówić zbytecznie.

B. Cz.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

Za miesiąc maj.

— *Dr. Antoni J.* Gawędy z przeszłości. 2 tomy 8ka str. 314, 294. Lwów 1879. 5·40 ct.

— *Bełcikowski Adam.* Lucjan Siemieński. 8ka str. 52. Warszawa 1879. 85 ct.

— *Berlicz Sas.* Pan Jaremiasz. Pamiętnik. 8ka str. 177. Poznań 1879. 1·50 ct.

— *Białecki Antoni.* Legat hr. Kickiego i osady rolne. 8ka str. 30. Warszawa 1879. 30 ct.

— *Bogusławski Wł.* Siły i środki naszej sceny. 8ka str. 378. Warszawa 1879. 2 zł.

— *Choiński T.* Syn burmistrza. Obrazek z niedawnej przeszłości. 8ka str. 165. Lwów 1879. 80 ct.

— *Czytania majowe* dla ludu, czyli zbiór krótkich rozmyślań na każdy dzień miesiąca maja. 8ka str. 140. Lwów 1879. 34 ct.

— *Dobry ton.* Przewodnik towarzyski i salonowy według dzieła Pani D'Alq napisała Helena z hr. Russockich Wilczyńska. 8ka str. 221. Lwów 1879. 2 złr.

— *Dzieduszycki Klemens.* Jan Herbert Kasztelan sanocki. Rys biograficzny. 8ka str. 56. Lwów 1879. 50 ct.

— *Glogier Zygmunt.* Baśnie i powieści ze źródeł etnograficznych i własnych notat. 8ka str. 59. Warszawa 1879. 35 ct.

— *Gnatowski Jan.* Realizm w literaturze nowoczesnej. studjum. 8ka str. 77. Lwów 1879. 80 ct.

— *Grudziński Stanisław.* Łokciem i miarką. Powieść społeczno-obyczajowa. 8ka str 191. Warszawa 1879. 2 złr.

— *Gyulai P.* Pamiętniki komedjanta. Przekład z węgierskiego. 8ka str. 74. Poznań 1879. 48 ct.

— *Hübner Bruno.* Sykstus piąty. Według korespondencji dyplomatycznych niewydanych, znajdujących się w archiwach Watykanu, Simancas, Wenecji, Paryża, Wiednia i Florencji. Przekład Stroynowskiego 2 tomy 8ka str. 513, 422. Warszawa 1879 r. 5 złr.

— *Jeż T. T.* Koleje życia, powieść 8ka str. 103. Poznań 1879. 72 ct.

— *Kantecki Klemens.* Dwaj Krzemieńczanie, wizerunki literackie (Alojzy Feliński — J. Korzeniowski). 2 tomy 8ka str. 157, 159 — 339 i 99. Lwów 1879. 3·60 ct.

— *Kasprzycki P. P.* Teorja hydroterapji i zastosowanie jej zasad do leczenia dżumy, tyfusu, dyfteritis, jakoteż środek na solitera 8ka str. 39. Lwów 1879. 50 ct

— *J. I. Kraszewskiego Powieści historyczne VIII.* Stach z Konar, Powieść historyczna z czasów Kaźmierza Sprawiedliwego. 4 tomy 8ka str. 263. 263. 276, 252. Warszawa 1879. 6·60 ct.

— *Mowa żałobna* na pogrzebie śp. Dezyderego Chłapowskiego jenerała b. wojsk polskich. 4to. str 32. Poznań 1879. 72 ct.

— *Oertel Dr. i Steiner Dr.* Zaraza błonicowa czyli Dyfterja. 8ka str. 39. Kraków 1879. 60 ct.

— *O wyborze książek* dla dorastającej młodzi. Kilka słów do rodziców, opiekunów i nauczycieli pobieżnie skreślił K. 8ka str. 34. Cieszyn 1879. 30 ct.

— Pamiętniki Ludwika hr. de Laveaux wydał z rękopismu. L. D. L. 8ka str. 344. Kraków 1879. 3 złr.

— *Rostafiński Dr. J.* Wykład publiczny o prawie Malthusa w przyrodzie, miany w Warszawie w dniu 27 marca 1879 r. 8ka str. 50. Kraków 1879. 50 ct.

— *Schenkl Dr. Karol.* Ćwiczenia greckie, podług dziesiątego wydania niemieckiego do polskiego języka zastósował Dr. Zygmunt Samolewicz. Wydanie trzecie. 8ka str. 220. Lwów 1879. 1·20 ct.

— *Siemieński X. Jan.* Biskup Dupanloup i jego dzieło „O wychowaniu" 8ka 21. Kraków 1879. 20 ct.

— *Spencer Herbert.* O wychowaniu moralnem, umysłowem i fizycznem przełożył Michał Siemiradzki 8ka str. 303. Warszawa 1879. 2·25 ct.

— *Spiewnik Polski* zeszyt 7. 8. 16ka str. 96. Lwów 1879. Nakład Księgarni Polskiej po 20 ct. Na welinowym papierze po 30 ct.

— *Teatr dla młodzieży.* Nro 7. 8. Posługacz, komedyjka w jednym akcie i Skradziona książka obrazek sceniczny w dwóch odsłonach przez Zygmunta Przybylskiego 8ka str. 27. 33. Kraków 1879. 40 ct.

— *Turgeniew Iwan.* Król Lir Stepu, powieść i Małek Adel. Nowella, z rosyjskiego przełożył Stanisław Wegner. 8ka str. 107. 37. Poznań 1879. 72 ct.

— *Wielogłowski W.* Pielgrzymka do ziemi świętej odbyta w r. 1863, przez Feliksa Bownia, włościanina z Koszowa, spisana za opowiadaniem pielgrzyma. Wydanie drugie 8ka str. 85. Kraków 1879. 25 ct.

— *Zaleska Marja Julja.* Wieczory czwartkowe. Opowiadania o cudach przyrody i znakomitych odkryciach naukowych dla młodego wieku. Wydanie trzecie, uzupełnione z uwzględnieniem najnowszych odkryć i 15 drzeworytami ozdobione. 8ka str. 344. Warszawa 1879. 2.25 ct.

— *Zygmunt J. A.* Nowy zbiór powinszowań do użytku młodzieży na dnie uroczyste: imienin, Nowego roku itp. dla rodziców i krewnych oraz wiersze do użytku osób dorosłych jako to: na dzień imienin, zaślubin, do wpisywania w albumy, toasty itp. napisane oryginalnie wiersze i prozą. Wydanie drugie znacznie powiększone. 8ka str. 164. Warszawa 1879. 85 ct.

— *Żychliński T.* Złota księga szlachty polskiej. Rocznik I. 4to str. 400. Poznań 1879. 6 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

Dowiadujemy się iż redakcją kalendarza *Rok* wydawanego staraniem Drukarni Związkowej we Lwowie zajął się w bieżącym roku p. *Władysław Bełza.* Oczywiście mowa tu być może głównie o redakcji części literackiej, chociaż i pod innemi względami należałoby w naszych kalendarzach nie jedno zreformować. Dotąd jednakże kalendarze tutejsze wychodziły wcale bez żadnej redakcji, drukowały się w nich rzeczy bez żadnego wyboru i bez żadnej wartości. Jeden kalendarz szczutka *Haliczanin* wyróżniał się ze wszystkich, a jeżeli nie budził szczególnego zajęcia, to dlatego że zawierał przeważnie przedruki ze Szczutka. Że jednak na prowincji, a i we Lwowie nawet Szczutek nie jest tak bardzo rozpowszechniony, więc te przedruki nie ujmowały

mu wartości. *Haliczanin* pozostawił wprawdzie wiele do życzenia tak pod względem illustracji jak typograficznym, papier i druk bowiem przypominają kalendarze z 18wieku. Do konkurencji mu tedy przybywa teraz *Rok* i mamy prawo oczekiwać że p. Bełza potrafi mu nadać istotną wartość, czem nie małą odda usługę społeczeństwu, kalendarz bowiem rozchodząc się w wielkiej ilości dostaje się przeważnie do rąk które, żadnej innej książki, oprócz sennika i książki do nabożeństwa nigdy nie trzymały. Kalendarz jest dla tych sfer jedynym przewodnikiem lekarskim, gospodarskim i jedyną książką, z której czerpią pokarm duchowy. Jak przeto bezmyślne spekulacje kalendarzowe, jako przynoszące szkodę społeczeństwu na wytępienie zasługują, tak znowu wydawnictwo kalendarza porządnie redagowanego zasługuje na największe pochwały i poparcie.

⁂ Kongres literacki w Londynie. Otrzymaliśmy już program mającego się odbyć w Londynie kongresu literackiego.

Jest on następujący:

Poniedziałek 9 czerwca. O dwunastej w południe. Posiedzenie przygotowawcze. O drugiej po południu posiedzenie publiczne. Instalacja. Odczytanie listy członków. Otwarcie kongresu przez prezesów należących do komitetu honorowego. Sprawozdanie z prac i statutów stowarzyszenia. Wotowanie statutów. Przedstawienie stanu rozmaitych piśmiennictw.

Wtorek 10 czerwca. O dwunastej w południe. Posiedzenie przygotowawcze o drugiej z południa. Posiedzenie publiczne. O tłomaczeniu. Odczytanie raportu stowarzyszenia. O tłomaczeniu wogóle. O prawie opieki nad własnością literacką istniejącem w różnych krajach. O konwencjach dyplomatycznych w tym samym przedmiocie. O formalnościach zapisywania i składu. O środkach urzeczywistnienia wniosków stawionych na kongresie z roku 1878: 1) z punktu opieki międzynarodowej; 2) z punktu środków czasowych, które mają być użyte dla zaradzenia brakowi tej opieki.

Środa 11-go czerwca 1879 r. O dwunastej w południe. Posiedzenie przygotowawcze. O drugiej z południa. Posiedzenie publiczne. O przyswajaniu utworów scenicznych. O przyswajaniu dzieł. Odczytanie raportu. O środkach powstrzymania przestępnego przyswajania i ochrony interesów materjalnych i duchowej wartości dzieł oryginalnych autorów.

Sobota 14-go czerwca 1879 r. O dwunastej w południe. Posiedzenie przygotowawcze. O drugiej z południa. Posiedzenie publiczne. Nominacja komitetu egzekucyjnego stowarzyszenia. Wotowanie nad wnioskami ostatecznemi kongresu co do tłomaczenia i przyswajania. Oznaczenie programatu i miejsca posiedzeń przyszłego kongresu. Mowa zamykająca kongres.

Drukowane raporta komitetu będą rozdane członkom przy otwarciu kongresu. Posiedzenia publiczne odbywać się będą w *Royal Institution of Great Britain Piccodilly W*, zaś prywatne w *Royal Asiatic Society*. Językiem urzędowym kongresu będzie język francuski, wolno jednak mowcom używać własnego narodowego języka.

Dla członków przybywających na kongres, komitet prosi się o wszelkie możliwe ułatwienia podróży i pobytu w Londynie, a to celem ułatwienia kłopotów wynalezienia mieszkania etc. etc. i obniżenia kosztów podróży.

Ponieważ dla osiągnięcia tego celu potrzebną jest wiadomość jaka mniej więcej ilość członków z każdego kraju na kongres się zbierze, uprasza się panów literatów, którzy już otrzymali zaproszenia, o łaskawe udzielenie odpowiedzi pod adresem sekretarza komitetu egzekucyjnego. Paryż, ulica Lepic 14.

⁂ P G. Kohn literat w Samborze, wydaje nową serję „Pism Marji z Rusiłowa". Czysty dochód z tego wydawnictwa przeznaczony jest w połowie dla Towarzystwa pomocy naukowej w Samborze, a w połowie dla krajowego instytutu głuchoniemych we Lwowie. Cena prenumeracyjna dzieła ustanowiona na 1 złr. a czas prenumeraty do d. 5 Sierpnia 1879 r.

⁂ Nakładem p. Kaufmana wyszły: słynna „Historja zbrodni" Wiktora Hugo (trzy tomy) i jedna z najnowszych powieści Daudet'a „Baronowa Mirbel".

⁂ „Stryj przyjechał" — taki jest tytuł najnowszej komedji hr. Władysława Koziebrodzkiego, umieszczanej w *Kłosach* a poświęconej Edwardowi Lubowskiemu.

Tegoż samego autora powieść „Pierwszy karnawał Ireny" drukuje *Tygodnik romansów i powieści*.

⁂ *Bibljoteka romansów i powieści*, wydawnictwa J. Kaufmana, rozpoczęła w nrze 18 dzieło Maksa Ringa p. t. „Dla miłego grosza".

⁂ Odczyt profesora Michała Bobrzyńskiego, pod tytułem: Wisła w wiekach średnich", ukaże się wkrótce w dwutygodniku *Niwie*.

⁂ Konstantynopol, „Wspomnienia z podróży Edmunda de Amicis", przekład pani Marji Siemiradzkiej z oryginału włoskiego, wyszedł z druku nakładem Filipa Sulimierskiego.

Zajmująca treść książki podwyższa się jeszcze ożywieniem opisów i umiejętnem badaniem wybitnych cech miejscowości i ludzi.

⁂ Wkrótce wyjść ma z druku „Historja żydów i ich wierzeń", E. A. Astruc'a, w przekładzie pana J. Rotwanda.

⁂ Słyszeliśmy, iż p. Kempner. właściciel księgarni w Płocku, ubiega się o pozwolenie wydawania pisma ludowego; na wydawcę został przedstawiony jeden z tamecznych obrońców.

⁂ Rząd angielski udzielił w roku ubiegłym 111,130 funtów szterlingów zapomogi dla szkół elementarnych na naukę śpiewu.

⁂ Podobno Patti i tenor Nicoli objęli na własne ryzyko teatr Gaité i zamierzają tu dawać w przyszłą zimę przedstawienia teatralne.

⁂ Witolorandę Kraszewskiego przełożył na język niemiecki p. Albert Ziepper.

⁂ Firma Gebethnera i Wolffa przysposabia na uroczystość Kraszewskiego wydanie zbytkowe „Starej Baśni" z illustracjami Andriollego.

⁂ Kleczeńskiego Jana „Trzy odczyty o wykonywaniu dzieł Chopina" opuściły prasę w Warszawie.

⁂ Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza zawiesiła swe wydawnictwo do dalszego czasu.

⁂ W wystawie na korzyść rodziny Tegazzo wezmą udział i krakowscy artyści. P. Maleszewski na tę wystawę dał nowy swój obraz „Wiosna".

⁂ W Mińsku Litew. zawiązuje się Towarzystwo Muzyczne.

⁂ P. J. F. Guniewicz, autor oratorjum „Niewola Babilońska", oraz opery „Djabeł w Karpatach", bawi w Warszawie.

⁂ P. Zacharjasiewicz, powieściopisarz, miał w Krakowie dwa odczyty „Gdzie on" „Gdzie ona"; są to nowelki z życia matrymonialnego dzisiejszego.

⁂ Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego Dr. Teichman wyłożył o użyciu nowego przez siebie wynalezionego sposobu wytryskiwania naczyń krwionośnych kitem szklarskim; oraz odczytano rozprawę D-ra Wróblewskiego o wykryciu wpływu lepkości cieczy na ilość stałą rozchodzenia się w nich gazów.

⁂ Poznańskie Towarz. Przyj. Nauk zamierza z łona swego wytworzyć komisję archeologiczną.

⁂ Na posiedzeniu wydziału przyrodniczego Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego, postanowiono wyznaczyć osobny lokal na miejsce doświadczalne i uprzaszać o czasowe choćby wypożyczenie aparatów po b. szkole Żabikowskiej; zdecydowano utworzyć zbiór geologiczno mineralogiczny z księstwa i prof. Szafarkiewicz odczytał rozprawę o nowej teorji powstawania źródeł, podanej przez Volgera z Frankfurtu.

⁂ Na posiedzeniu Tow. Lek. we Lwowie postanowiono na jesień urządzić szereg odczytów z hygieny, a Dr. Widmann miał wykład „O kurczeniu się mięśni brodawkowych serca i w jaki sposób zwierają się zastawki żylne".

⁂ Od komitetu powszechnej drezdeńskiej wystawy płodów sztuki, umiejętności i przemysłu dla młodzieży otrzymujemy następujące pismo: W czasie od 1 lipca do 31-go sierpnia odbywać się będzie w Dreznie powszechna wystawa płodów sztuki, umiejętności i przemysłu dla młodzieży. Na wystawę będą przyjmowane stosownie do programu: 1) Środki nauczania używane w szkołach i domu, w ogródkach dziecinnych i t. d.; 2) pisma drukowane jak książki szkolne. czasopisma dla młodzieży, obrazowe zestawienia; 3) przynależytości szkolne, przyrządy gimnastyczne; 4) instrumenta muzyczne; 5) zabawki dziecinne; 6) wszelkiego rodzaju artykuły użytkowe działu przemysłowego, służące dla dzieci, np. meble, bielizna, odzież, ortopedyczne instrumenta itp. systematyczne przedstawienie rozwoju różnych sposobów nauczania jest również celem wystawy, i dlatego są pożądane przedmioty historyczne, mające związek z wychowaniem i nauką. Z wystawą połączona będzie loterja przedmiotów wystawionych (po 3 marki los). Tego rodzaju wystawa w roku 1877 odbyta. ograniczona tylko na Saksonję, znalazła szerokie uznanie. Komitet wystawy składa się z jednego kupca i trzech pedagogów. Zgłoszenia przyjmuje dyrekcja wystawy, pan C. Heinze, kupiec w Dreznie".

⁂ Towarzystwo zachęty sztuk w Królestwie Polskiem ofiaruje w roku bieżącym jako premjum dla swych członków olejodruk, przedstawiający „Elegję" Siemiradzkiego.

Olejodruk ten wykonanym został w pracowni p. Fajansa i członkowie otrzymają takowy naklejony na płótno już rozpięte na blejtramie.

Sposób podobnego rozdawnictwa premii był dotychczas jeszcze niepraktowanym. stanowi on jednak wielkie ułatwienie, niechcący bowiem wydatkować na ramy, odrazu będą mogli obraz zawiesić na ścianie.

⁂. Bitwa grunwaldzka" Matejki budzi w Petersburgu nader wielkie zainteresowanie.

Dalsza wędrówka wielkiego dzieła sztuki wypada na Odessę.

Ztamtąd obraz zawita do Wilna.

Następne jego koleje dotąd nie są jeszcze zdecydowane.

⁂ Na krakowskiej wystawie znajdują się: Abramowicza „Puhacz nad łupem," Grocholskiego „Portret margr. W." (kredką), Mroczkowskiego „Powrót chłopka z chróstem," Sidorowicza „Krajobraz o zachodzie słońca," Wodzickiej T. „Portret wnuczki" (Pastel), Wyczółkowskiego „Dzieci hr. K."

⁂ Wielki oaraz Makarta „wjazd Karola V. do Antwerpji" nabyło hamburskie Towarzystwo sztuk pięknych.

⁂ Szopen — Niemcem!

Pp. Breitkopf i Härtl. dwaj lipscy znani księgarze, wydali w tych dniach oryginalny prospekt.

Z publikacji tej każdy dowiedzieć się może, iż nasz genjalny Szopen jest dzieckiem muzyki niemieckiej, jego mazurki i polonezy spuścizną narodu niemieckiego i produktem germańskiego ducha.

Naiwność to czy czelność?

Po Koperniku kolej przyszła na Szopena.

Pilnujmyż Mickiewicza.

Germanie dobry mają apetyt!

⁂ Myśl wydania wszystkich dzieł Jana Kochanowskiego wchodzić zaczyna w sferę czynu. W tym celu zawiązał się już komitet redakcyjny pod kierunkiem prof. Józefa Przyborowskiego, gruntownego badacza językowych literackich pomników przeszłości naszej. W skład komitetu wchodzą pp. Jenike, Al. Kryński, Rafał Lewenfeld, Roman Plenkiewicz i Tadeusz Włoszek, a na współpracowników zaproszono pp. Antoniego Bądzkiewicza, Piotra Chmielowskiego, Władysława Dębickiego, Felicjana Faleńskiego, Kaszewskiego, Flor. Łagowskiego. Lucjana Malinowskiego Walerję Marrenné, Wł. Nehringa, Al. Niedźwieckiego. Wł. Nowcę, Adolfa Pawińskiego, Seweryna Smolikowskiego i Juljana Święcickiego.

Komitet ten z pomocą tak dobranego grona badaczów i literatów, zajmie się wydaniem dwóch edycyj pism poety, z których jedna zupełna i ozdobna in 4to, obejmie wszystkie utwory Kochanowskiego polskie i łacińskie, wydrukowane podług pisowni pierwszego wydania Psałterza, druga zaś edycja popolurna in 8vo, obejmie tylko polskie utwory z objaśnieniami podług pisowni dzisiejszej zastosowanej do powszechnego użytku. Każdy utwor ma być poprzedzony wstępem krytycznym i opatrzony objaśnieniami, przypiskami. wydanie zupełne obejmie oprócz tego rozprawy specjalne, tyczące się danego przedmiotu, tj. biografię poety przez p. Plenkiewicza, bibliografię przez prof. Przyborowskiego i rozprawę o języku Kochanowskiego, przez p. Kryńskiego.

Przedsięwzięta praca jest bardzo cenną i zasługującą na gorące poparcie, gdyż nietylko że odpowie wymaganiom nauk i potrzebom badaczów rzeczy ojczystych, ale ogółowi naszemu da możebność posiadania utworów wielkiego poety w pełnym nieskażonym zbiorze.

Wszechstronne opracowanie filologiczne i krytyczne pieśni Jana z Czarnolasu, będzie początkiem pomnikowych wydawnictw, jakie w literaturach zagranicznych posiadają już wszyscy niemal pisarze poezji.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Wystawa pszczelnicza i ogrodnicza w Jarosławiu i walne zgromadzenie Galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego.

W myśl ustaw obowiązujących, odbędzie się w drugiej połowie września r. b. w Jarosławiu Walne Zgromadzenie Gal. Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego w połączeniu z Wystawą pszczelniczo-ogrodniczą, której urządzeniem zajmuje się z całą gorliwością Zarząd Oddziału Cieszanowsko-Jarosławskiego tegoż Towarzystwa.

Wystawa Towarzystwa składać się będzie z dwóch części: z instrukcyjnej i konkurencyjnej. W skład pierwszej wejdą przedmioty polecane i wystawione przez przez Towarzystwo i ta część będzie wyłączoną od nagrody. Druga część, konkurencyjna obejmie wszystko, co tylko dotyczeć może krajowego ogrodnictwa i pszczelnictwa, czy je weźmiemy jako umiejętności, czy jako gałęzie przemysłu i będzie się składała z okazów ubiegających się o nagrody, które stosownie do zasługi będą nagrodami uwieńczone.

Nagrody za celniejsze okazy będą udzielane: w dyplomach honorowych, w medalach srebrnych i brązowych, w listach pochwalnych i pieniądzach. W celu rozbudzenia zamiłowania do hodowania nasion będą przedewszystkiem uwzględnione, jak dotąd tak i na tegorocznej Wystawie pszczelniczo-ogrodniczej w Jarosławiu, *nasiona wypielęgnowane w kraju.*

Zeszłoroczna Wystawa pszczelniczo-ogrodnicza w Brodach przekonała nas, że nie brak nam ludzi woli i pracy, przejętych dobrem ogółu i pojmujących znaczenie i ważność wystaw specjalnych.

Jeżeli wystawa, urządzona w mieście na krańcu kraju położonem, jakiem są Brody i do tego w okolicy mniej bogatej w płody pszczelnicze i ogrodnicze, tak świetnie się powiodła, to spodziewać się należy, że przyszła wystawa pszczelniczo-ogrodnicza w Jarosławiu, jako w środkowym punkcie kraju będzie o wiele świetniejszą.

Szczegółowy program Wystawy i obrad walnego Zgromadzenia później ogłoszony zostanie.

Dla wzajemnego dobra i pożytku, pożądaną byłoby rzeczą, ażeby na Wystawie tej, nietylko ogrodnictwo i pszczelnictwo galicyjskie, ale także ogrodnictwo i pszczelnictwo innych części kraju było reprezentowane.

*** Dr. Jan Filewicz ordynować będzie w sezonie tegorocznym w Szczawnicy.

*** Doktorowie: Ludwik Przesmycki, Juljusz Zajdowski i Cambell otwierają z dniem 15 b. m. zakład leczenia kumysem z mleka kobylego w Sławucie (stacja dr. żel. brzesko-kijowskiej).

*** P. Kleczkowski, fabrykant buljonów, otrzymał od akademji narodowej rolnictwa, handlu i przemysłu w Paryżu medal srebrny za swe wyroby.

*** Warsz. Tow. Opieki nad zwierzętami wyjednało w roku zeszłym karę na 248 osób przekraczających przepisy przeciw dręczeniu zwierząt, a przyznało nagrody za dobre obchodzenie się w kwocie 173 rs. Towarzystwo posiada 6,672 rs. dochodu, z których 3,329 pozostało remanentu.

*** P. Tosiński w Rysiowie, w Lubelskiem, założywszy obszerną pasiekę, zamierza zgromadzić muzeum pszczelnicze.

*** W Kobryniu została otwartą wystawa koni włościańskich z konkursem wożenia ciężarów (nagroda 250 rs).

*** Do *Gazetta piemontesse* piszą z Ormea, iż tamże w d. 5. maja spadła olbrzymia lawina z góry zwanej Pizzo d'Ormea. Pociągając za sobą drzewa, skały, wszystko co znajdowało się na jej drodze, lawina spadła na wioskę. Szesnaście domów zupełnie zostało zasypanych masą śniegu na 150 metrów wysoką. Mieszkańcy zdołali dość wcześnie umknąć, pozostawiwszy jednak cały dobytek.

*** Istniejące dotychczas pojedyncze inspekcje kolei żelaznych zostaną zwinięte, a będzie ustanowioną nad wszystkiemi drogami żelaznemi w Królestwie Polskiem jedna władza pod przewodnictwem inżyniera Rydzowskiego.

*** W Krakowie rozwiązano stowarzyszenie „Gwiazda" czeladzi rzemieślniczej, dając za powód zbyt mały udział członków.

*** Pałac Raczyńskich w Berlinie, z wyjątkiem galerji i mebli, ma być sprzedany rządowi, który go przerobi na gmach parlamentu.

*** Ze sprawozdania Tow. wzajemnej pomocy w Poznaniu „Ul" widać, że poniosło ono stratę 15,000 marek, który to niedobór walne zgromadzenie postanowiło pokryć z dobrowolnych składek.

*** Tow. przemysłowców polskich w Dreźnie miało 11 zebrań w ciągu kwartału, na których pan Bieliński mówił o trzęsieniach ziemi, Piotrowski i Koeltz o szachach, Styczyński o cle, Konopacki o historji.

*** Pod prezydencją Wiktora Hugo odbędzie się w Paryżu w dniu 18. maja pamiątkowy bankiet zniesienia niewolnictwa: komitet złożony z senatorów i deputowanych zajmuje się urządzeniem tego święta republikańskiego.

*** *Courrier de Bruxelles* donosi, iż wszyscy ministrowie belgijscy należą do związku wolnomularskiego. I tak: Frere de Orban jest „Prince du Royal Secret" w Lüttich, Van Humbeeck — wielkim komandorem najwyższej rady w loży brukselskiej, Bara — komandorem świątyni jerozalemskiej w tejże loży. Renard — wielkim komandorem najwyższej rady, Rollin — członkiem loży Septentrion w Gent, Graux — loży brukselskiej, Sainctelette — loży w Mons. Oprócz tego 27 deputowanych oraz 9 senatorów jest wolnomularzami.

*** Ojciec Hyacynt wystosował w imieniu „kościoła anglikańskiego" petycję do izb, domagającą się uznania tego kościoła przez państwo.

*** Jules Barbier, znany librecista, autor tragedji „Jeanne d'Arc", występuje jako kandydat do akademji Paryzkiej.

*** W Anwers projektowane jest urządzenie w roku 1880 międzynarodowej wystawy morskiej.

*** W Hamburgu policja wykryła znaczną ilość pism socjalistycznych. Aresztowanych dziewięć osób. Druki pochodzą z Anglji.

*** W Heurfano Park, Colorado, odkryto w tych dniach bogate pokłady złota.

*** W Lizbonie w lecie r. b. zbierze się kongres antropologiczny.

*** Utworzyła się kompania, która wybuduje most przez rzekę Detroit pod Belle Oile, będzie to drugi największy most w Ameryce a i drugi największy na całym świecie, podobny do mostu w St. Louis, Mo.

*** „Projekt kanalizacji i wodociągów w mieście Warszawie", sporządzony przez inżyniera Lindleya, wyszedł już na widok publiczny w polskim przekładzie p. Grotowskiego. Jestto wielki tom *in folio*, złożony z dwóch części, z których w jednej znajdujemy projekt kanalizacji, w drugiej projekt wodociągów. Pierwsza zawiera 52 stronnice tekstu, oraz aneksa złożone z 39 stronnic wyrachowań i sześciu wielkich planów przedstawiających projektowane kanały. Część druga mieści 32 stronnice tekstu, 7 stronnic kosztorysu i tablicę z oznaczeniem rezultatów analizy wody wiślanej. Do pierwszej części dodany jest plan Warszawy sporządzony na skalę 1:16,800 z oznaczeniem wszystkich projektowanych linij kanałów, do drugiej takiż plan z uwidocznieniem sieci rur wodociągowych. Prócz tego w magistracie znajdują się do przejrzenia dla techników plany podobne daleko więcej szczegółowe, bo na skalę 1:4200 ułożone. Do rozesłanego po redakcjach „Projektu," który przedstawia się korzystnie i pracowicie, p. prezydent dołączył pismo usprawiedliwiające raz jeszcze potrzebę kanalizacji i odpowiadające na zarzuty, jakie w tym przedmiocie robiono.

*** Z Nevada donoszą przykrą wiadomość, że w wielu miejscach znajdują się wielkie zarody szarańczy. Farmery tamtejsi dla obawy jeszcze nic tej wiosny nie siali, ani też siać nie myślą.

*** W kilku wsiach obwodu Gori w Tyflisie panuje nieznana epidemja, zabierająca liczne ofiary. Śmiertelność szczególniej wielka jest we wsi Metechi. Straszliwa śmiertelność panuje także i w innych wsiach. We wzi Dirby, liczącej 150 domów, zmarło 70 osób. W Beloty 31 osób. We wsi Medżwriszeni, mającej 200 domów, zmarło 200 osób. Ta sama epidemja panuje też i w innych wsiach.

*** Środek na dławiec:

Angielskie czasopismo *Chambers journ.* podaje następującą, godną rozpowszechnienia wiadomość:

„Nie możemy nie wskazać na stwierdzony doświadczeniem osobliwszy fakt, iż siarka okazała się środkiem równie skutecznym przeciw wszelkim grzybkom, rozwijającym się na roślinach wyższego rzędu, jak grzybkom tak fatalnie nieraz zagrażającym życiu człowieka.

W Kanadzie, a podobno także na wyspie Cejlon, używano przeciw dyfterji z jak najlepszym skutkiem nader prostego środka, który na małą skalę już nawet zastosowany i wypróbowany został we Francji przez pewnego lekarza angielskiego.

Otóż jeżeli choroba nie postąpiła jeszcze bardzo i chory ma dość sił po temu, należy dać mu do płukania gardła łyżkę miałko utłuczonej siarki rozpuszczonej w szklaneczce wody; w wypadkach zaś mocno już rozwiniętej choroby zaleca się inhalacja pary palącej się siarki, w którym to celu należy głowę chorego tak ułożyć, ażeby para ta sama mogła przez usta dostawać się do szyi.

Pewien lekarz kanadyjski używał nawet w groźnych wypadkach z powodzeniem wdmuchiwania pyłku siarki do gardła.

Siarka zabija grzybek tłoczący otchłań gardlaną i sprowadzający w końcu śmierć przez uduszenie.

Przełknięcie małej ilości siarki nie może być zresztą szkodliwem dla organów trawienia."

*** *Nazione* otrzymuje szczegóły trzęsienia ziemi w Casola-Valsenio i Pallazzuolo di Romana, w dolinie Senio. W Casola Valsenio przez pięć dni powtarzało się codziennie dość silne wstrząśnienie. Mieszkańcy Pallazuolo opuścili domostwa i chronią się na polach. W Castel del Rio silne wstrząśnienie ciężko uszkodziło starożytny zamek Alidosi, kościół i prezbiterjum San Miniato. Trzy domy zawaliły się, inne silnie nadwerężone. Wstrząśnieniom towarzyszył głuchy łoskot, podobny do oddalonego strzału armatniego.

*** *Times* pomieszcza szczegóły o szkodach spowodowanych trzęsieniem ziemi w Persji, trwającem z małemi przerwami około pół miesiąca. W dniu 22 marca zauważono pierwsze wstrząśnienia w Tabris, Zendjau i Mianch. W okolicy ostatniego miasta było ono najsilniejsze. Trzęsienia powtarzały się z różną siłą do 2 kwietnia. Urzędowa lista szkód spowodowanych trzęsieniem ziemi wykazuje: 21 wiosek i miasteczek zupełnie zrujnowanych, 54 w większej części zniszczonych, osób zginęło 992, również też gruzami została zasypana wielka ilość bydła. Środek wstrząśnienia był w bliskości góry Bosgouche.

*** Wiele hałasu robi obecnie w świecie naukowym czeskim i w gronie tych co się „bez wszelkiego prawa" do tego świata mięszają, sprawa znanego powszechnie zabytku najstarszej poezji czeskiej „Sąd Libuszy" albo „Rękopism Zielonogórski". Zbyteczne by zapewne było obszerniej o treści tego znakomitego zabytku literatury czeskiej traktować, bo jest on bezwątpienia tak znany, jak Rękopism Królodworski, i nadmieniamy tylko, że oba te utwory dawno już były niemal na wszystkie europejskie języki przetłómaczone. Polacy mają przekład „Sądu Libuszy" przez Augusta Bielowskiego i „Królodworskiego Rękopismu" przez Lucjana Siemieńskiego i dodamy, że oba te przekłady ogółowo się uważają za najlepsze tłómaczenia tych utworów. Nie jest to więc dziwnem, ale wcale naturalnem, że pamiątki tak sławione, które w dziejach czeskiego narodu nową literacką epokę wytworzyły, zostały przez różnych chętnie podejrzywane, nawet od takich, którzy języka nie znali. Sam „ojciec słowiańskiej filologji" J. Dobrowski, należał do tych co długo nie chcieli prawdziwości i autentyczności „Sądu Libuszy" przyznać, lecz nakoniec podzielił przecież zdanie innych, którzy zaraz od początku (Sąd Lib. znaleziono 1818 r) na autentyczność się zgodzili. W sprawie tej napisa-

no w ogóle już wiele, w wielu językach i utworzyła się już z tego mała literatura.

Szafarzyk i Palacki wydali 1840 wspólnie osobne dzieło: *Die ältesten Denkmäler der böhmischen Sprache*, w ktorym gruntowne, wszechstronne wypowiedziano dowody, że „Sąd Libuszy“ jest rzeczywiście niesfałszowany. W skutek dzieła tego było czas niejaki cicho. Dopiero znowu w latach 1858—1859 w niektórych niemieckich czasopismach pisali niemieccy uczeni, nie znający ni czeskiego ni starosłowiańskiego języka, przeciw najstarszemu zabytkowi literatury czeskiej. Niektóre z tych rozpraw miały charakter prawdziwie naukowy, niektóre — i to większa część — charakter śmiesznej nienawiści. Ale też z czeskiej strony powstało w obronie „Sądu Libuszy“ kilku znanych mężów, jako Polacy, Hattala, bracia Ireczek, Tomek i w. i., którzy nowe podali dowody i to tak szczęśliwie, że już J. Hanusz, jeden z najpilniejszych badaczy czeskich, rzetelnie mógł wypowiedzieć, „że szkoda jest czasu szukać dowodów przeciw autentyczności sądu Libuszy. Beati bohemi posidentes“.

I znowu było cicho, cicho dosyć długo! Dopiero 1877 r. zabrzmiał na nowo głos — z Wiednia. Pan Alois Szembera, profesor języka i literatury czeskiej uniwersytetu wiedeńskiego, którego zasługi na polu literatury czeskiej zaprzeć nie można, twierdzi w najnowszem wydaniu swojej „Historji literatury czeskiej“ że „Sąd Lib.“ jest — sfałszowany! Po tem pierwszem odezwaniu nastąpiło wkrótce drugie; otóż w tych dniach wydał tenże sam p. Szembera osobne dzieło: *„Libušin sond, domnelá nejstarši památka rzeczi czeské, jest podorżen. Czehož dukazy podává.“* Całe dzieło zawiera 148 i VIII str., w którem autor pragnie dowodami filologicznemi, historycznemi i paleograficznemi dowieść nieprawdziwości i sfałszowania rzeczonego rękopismu. Że czescy uczeni nie milczą i milczeć nie będą, samo przez się łatwe do zrozumienia; jest to sprawa dla słowiańskich uczonych w każdym razie bardzo ciekawa i zasługuje na wszechstronną uwagę.

Dotąd głównie p. J. Ireczek (były minister) i morawski historjograf Beda Dudik wystąpili przeciw twierdzeniu prof. Szembery i bez wszelkiej wątpliwości mają wyroki tych dwóch uczonych większą wiarogodność, niż wyroki wiedeńskiego profesora. W każdym razie wypada życzyć, żeby ta sprawa się dobrze skończyła, bo „Sąd Lib.“ również jak „Rękop. Królodworski“ zawsze będzie miał wartość niezmierną dla każdego badacza starej słowiańszczyzny. Dogmaty pana Szembery są nielczne i bardzo słabe — można im łatwo się przeciwstawić.

ROZMAITOŚCI.

Znaczenie rachunku w gospodarstwie.

W każdem przedsiębiorstwie wchodzą w działanie trzy czynniki: warstat, praca i umiejętność. W gospodarstwie rolnem pierwszy czynnik stanowi ziemia, drugi kapitał obrotowy, trzeci specjalne ukształcenie. Jeśli którego z tych trzech czynników niedostaje, wówczas na pomyślny bieg i rezultaty z przedsiębiorstwa liczyć nie można. Jeśli np. pewien majątek nie posiada ziemi zdolnej do przyjęcia należytej kultury, albo niedostaje mu kapitału obrotowego, rąk roboczych lub umiejętnego i gospodarczego przewodnictwa, wówczas trwałych dochodów taki majątek nie da.

Każdy z tych trzech czynników jest w rolniczym przemyśle ważnym: ważną jest urodzajna gleba; ważnem, jeśli właściciel posiada stosowne zasoby pieniężne; ważnem jest także, jeśli ma pod dostatkiem taniego i zdolnego robotnika, ale najważniejszem z tego wszystkiego będzie umiejętny zarząd i przewodnictwo; gdzie tego brakuje, mogą być wprawdzie wypadki i lata szczęśliwe, darzące pewnemi zyskami, ale o stałych dochodach z takiego gospodarstwa, o umiejętnem zużytkowaniu ziemi, pieniędzy i pracy myśleć nie można. Dla tego ukształcenie specjalne i gruntowne rolników jest jednem z najważniejszych zadań państwa. Gospodarstwo rolne dostarcza surowych produktów dla wszystkich gałęzi przemysłu, jego więc stan i położenie odbija się we wszystkich gałęziach gospodarstwa narodowego. Źle i nieumiejętnie prowadzone rolnictwo przynosi państwu nieobliczone straty. Porównajmy tylko w tej lub owej okolicy gospodarstwa racjonalnie prowadzone z zaniedbanemi i prowadzonemi nieumiejętnie; idźmy od wsi do wsi i zróbmy rachunki wiele gospodarstwa przynieść mogą a wiele przynoszą, zsummujmy te różnice, a przekonamy się bez wielkiego zachodu, że cyfry wynoszą do miljonów rubli.

O ile jest ważnem a zarazem trudnem zadanie umiejętnego zarządu w gospodarstwie, o tyle również ważnemi są wszystkie środki przychodzące mu w pomoc. Z tych środków pomocniczych, bez wahania twierdzić można, najpierwsze miejsce zajmuje dobrze prowadzona rachunkowość. Że jej metodyczne urządzenie jest nie łatwe, wynika to z samej natury rzeczy. Większość zajęć technicznych posiada tę ważną szansę przed rolnictwem, że przestrzeń, jaką zakład przemysłowy zajmuje, jest nie wielka i do obejrzenia i kontroli łatwa. Stosunki są proste i redukujące się do gotówki, rozgałęzienia nieliczne i łatwo ściśle obliczyć się dające; rachunki więc tam nie przedstawiają tych trudności, jakie napotykają w gospodarstwie. Warstat rolnika stanowi przyroda, materjał surowa ziemia, obydwa czynniki tworzą olbrzymie wielkości, których przetwory acz kolwiek rok rocznie odbywają się według jednych odwiecznych praw, tak są przecież w skutkach różnorodne, taka jest rozmaitość tych miljonów światów materjalnych, tworzących życie zwierząt i roślin, że niełatwo przychodzi pochwycić wątek i ująć go w ścisły rachunek. Kapitały gospodarcze są rozdrobnione na tysiące małych i wielkich cząstek w postaci budynków, inwentarzy, łąk, obsianych pól, zasadzonych drzew, płatnej pracy i płatnego dozoru, narzędzi gospodarskich, a to wszystko w ustawicznym ruchu, dozór i kontrolę rachunkową utrudnia. W tych to cząstkach rozrzuconego, często niepostrzeżonego, jeśli nie będzie zaprowadzona ścisła rachunkowość i kontrola, właściciel ponosić będzie nieustające szkody przez niedbalstwo i nieumiejętność; szkody wprawdzie drobne, ale na tylu punktach i przez rok cały powtarzające się, iż wyrastają do znacznej cyfry. Kto ich chce choć w części uniknąć, winien zaprowadzić nad wszystkiem kontrolę; bez niej nawet najzdolniejszy administrator, najpilniejszy gospodarz nie jest wstanie im zaradzić.

Dobrodziejstwa z dobrej rachunkowości wynikające nie ograniczają się przecież li tylko do kontroli szczegółów, nie mniej ważną jest pomoc jaką w niej czerpie gospodarz w ogólnym zarządzie. Człowiek myślący wszystkie swoje czynności stara się przeprowadzać z planem, wiodącym do pewnego jasno określonego celu, stosownie do niego oblicza swoje środki i siły, i zrobiwszy taki rachunek dopiero przeprowadza co zamierzył. To jest historja wszystkich czynności myślącego człowieka, taka winna być droga w każdej pracy i przedsięwzięciu rolnika; — owszem ten ostatni winien ściślej się obliczać jak ktokolwiek bądź inny. Ściśle mówiąc, racjonalnie gospodarzyć jest niczem więcej, jak jasno pojmować związek pojedyńczych rozporządzeń, z ogólnym planem gospodarstwa. Obydwa momenta t. j rozumienie ogólnego związku i jasne zeznanie zasad szczegółowego działania, są właśnie przewodnikiem gospodarczego zarządu i bez pomocy dobrej rachunkowości tem mniej możliwe do osiągnięcia, im ogólny związek w szczególnych wypadkach mniej na jaw występuje.

Kto więc chce być istotnym gospodarzem, kto chce być nie pozornie tylko ale rzeczywiście panem i wodzem w swojem gospodarstwie, ten winien prowadzić rachunkowość dokładną i swemu położeniu odpowiednią. Mówimy odpowiednią swemu położeniu, zachodzi bowiem pewna różnica w położeniu gospodarza zarządzającego wielkim i małym majątkiem. Gospodarz prowadzący gospodarstwo w jednym folwarku, doskonale zna wszystkie szczegóły, każda bowiem czynność jest przeprowadzona pod osobistym jego nadzorem, żaden wypadek nie uchodzi jego uwagi, ale właśnie w tych szczegółach łatwo mu się zbłąkać; rachunki więc mniejszych majątków przedewszystkiem całość mieć winny na względzie. Administrator wielkich dóbr, wprawdzie zarząd także trzyma w swych rękach, ale zarząd tylko ogólny, którego stan lepiej mu jest znany, niż pojedyńcze szczegóły, zwykle wykonywane przez jego zastępców. A zatem w wielkich dobrach rachunkowość musi być więcej skierowaną do kontroli szczegółów, w małych majątkach, do wyjaśnienia ogólnego związku.

Piękne to i wielkie prawo, gdy pojedyńczy człowiek może wystąpić w obec wszystkich mieszkańców ziemi i powiedzieć: „ten kawał gruntu jest moją własnością.“

Lecz to wielkie prawo wkłada również wielki i święty obowiązek na tego, któremu służy, aby każdej chwili mógł zdać rachunek jak go używa. Jeśli są w niektórych państwach ustawy, które rolników, gdy ich nieszczęście lub wypadek wyzuje z własności, jeśli rachunkami nie mogą udowodnić swego nieszczęścia, poddają ich prawu kryminalnemu, nie należy uważać tego jako srogość, ale jako naturalny skutek wynikający z pojęcia sprawiedliwości.

Każdy, kto tylko prowadzi jakiekolwiek przedsiębiorstwo, koniecznie winien prowadzić jego rachunki, raz dla tego, aby mógł jasną zdać sobie sprawę ze stanu swoich interesów, wiedzieć czy traci lub zyskuje, lub na czem traci na czem zyskuje?

Powtóre dla osób z któremi zostaje w stosunkach, ten ostatni wzgląd tem występuje silniej im więcej jest kapitałów obcych do obrotu użytych. W gospodarstwie pobudki te nierównie są silniejsze; w niem rachunek jest niby okiem sumienia, zwierciadłem czarodziejskiem z całą prawdą odbijającem istotne położenie gospodarza. Bez przesady można powiedzieć, że w gospodarstwie rachunek dobrze prowadzony jest jednym z najsilniejszych motorów postępu, wykazując bowiem z całą prawdą rezultaty, wykazuje zarazem trafne lub nietrafne postępowanie gospodarza. Uczy go jaką gałęź rozwinąć, jaką ograniczyć do koniecznej potrzeby; uczy gdzie ma szczególniejszą baczność zwrócić swoją uwagę i kontrolę; daje mu możność faktycznego przekonania się o wartości swoich pomocników i robotników, o ich pracowitości i oszczędności, — to najlepszy doradzca i przyjaciel, zawsze mówi prawdę, nigdy nie pochlebia i jako wierny stróż ostrzega w swoim czasie o grożącem niebezpieczeństwie, broniąc od tej strasznej godziny, w której słowo „za późno“ brzmi jak hymn pogrzebowy.

Jeślibyśmy się teraz zwrócili do rolników i rozpatrzyli w jaki sposób prowadzą swoje rachunki, rzadko spotkalibyśmy gospodarstwo prowadzące rachunkowość dokładną. Większość ogranicza się do kontroli ruchu gotówki, zboża w ziarnie i w snopie i inwentarza żywego. Czy taka rachunkowość nauczy czegokolwiek? Stanowczo twierdzimy, że nie. Jest to tylko kontrola bieżąca mająca na celu ustrzedz się od nadużycia oficjalistów, ale nie rachunek z przedsiębiorstwa, mogący wykazać straty lub zyski w każdej gałęzi rolniczego warstatu. A wieleż to takich gospodarstw, w których rachunek uważają za stratę czasu i prowadzą go na drzwiach spichrza lub karbowanych kijkach? Cóż więc dziwnego, że nasze rolnictwo chromieje, że wielu szuka ratunku gdzieś po za obrębem własnej siedziby? Jakże może być inaczej, gdy się nie wie o własnych siłach i środkach, o drogach i sposobach uniknienia błędów a korzystania z materjałów, mogących częstokroć zagoić rany i postawić na nogi. *Próbować, rachować, oszczędzać i pracować*, oto jest dewiza racjonalnego gospodarza.

Antoni Strzelecki.

Treść Nr. 17. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.